SANDRA BROWN

Meandry miłości

ROZDZIAŁ 1

Dobrze, Kyla, świetnie. Oddychaj, nie za głęboko. O, tak, właśnie tak. Jak się czujesz?

- Jestem zmęczona.

- Wiem, ale dasz radę. Przyj, mocniej, jeszcze trochę, o, tak, dobrze, bardzo dobrze.

Młoda kobieta na stole porodowym zacisnęła zęby w paroksyzmie gwałtownego bólu. Kiedy minął, starała się nieco rozluźnić zbolałe członki. Jej twarz, choć zaczerwieniona z wysiłku, promieniała.

- Widać je już?

W tym momencie chwycił ją kolejny, spazmatyczny skurcz. Usiłowała przeć ze wszystkich sił.

- Widać główkę - oznajmił lekarz. - Spróbuj jeszcze raz, przyj, tak, świetnie... no, i już po wszystkim. Wspaniale! - wykrzyknął, kiedy dziecko wyślizgnęło się prosto w jego nadstawione ręce.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec. Śliczny. Prawdziwy gagatek.

- A jakie ma silne płuca - rozpływała się z zachwytu położna.

- Chłopiec - mruknęła uszczęśliwiona Kyla i opad-

ła na poduszki. Z ulgą poddała się ogarniającej jej ciało błogiej ociężałości. - Chcę go zobaczyć. Czy jest zdrowy?

- Zdrowy jak rydz - zapewnił lekarz i pokazał jej wierzgającego, rozkrzyczanego noworodka.

Oczy Kyli napełniły się łzami.

- Nazwiemy go Aaron. Aaron Powers Stroud. - Pozwolono jej przez chwilę przytulać małego do piersi. Wezbrała w niej fala ogromnej tkliwości.

- Ojciec może być dumny z tak udanego syna - orzekła położna. Wyjęła malca z osłabionych wysiłkiem matczynych ramion, zawinęła w miękkie prześcieradło i położyła na wadze.

- Teraz trzeba zawiadomić ojca - stwierdził lekarz.

- Rodzice czekają na korytarzu. Tata obiecał wysłać do Richarda telegram.

- Waży dziewięć funtów i trzy uncje! - zawołała siostra z drugiego końca sali.

Położna ściągnęła rękawiczki i ujęła omdlałą dłoń Kyli.

- Pójdę im przekazać tę radosną nowinę. Niech wyślą telegram jak najprędzej. Gdzie jest teraz Richard?

- W Kairze - odparła z roztargnieniem Kyla, nie mogąc oderwać wzroku od wymachującego gniewnie nóżkami Aarona. Taki śliczny. Ojciec będzie z niego dumny.

Aaron urodził się o zmierzchu i matka w miarę spokojnie spędziła tę noc. Dwukrotnie przynosili jej malca, choć nie miała jeszcze pokarmu, a mały nie był głodny. Tulenie ciepłego ciałka sprawiało jej bezgraniczną radość, przepełniało poczuciem bliskości, jakiego nigdy jeszcze nie zaznała.

Dokładnie obejrzała drobne rączki, próbowała odgiąć

mocno zaciśnięte w piąstki paluszki. Sprawdziła każdy palec u obu stóp, każdy kosmyk miękkich jak puch włosów i orzekła, że syn jest bez zarzutu.

- Ja i tatuś bardzo cię kochamy - szepnęła sennie, powierzając synka pielęgniarce.

Obudziły ją dość wcześnie poranne odgłosy szpitalnej krzątaniny: skrzyp wózków z praniem, grzechot tac, na których roznoszono śniadanie, brzęk instrumentów. Właśnie szeroko ziewała i przeciągała się leniwie, kiedy do sali weszli rodzice.

- Witajcie! - zawołała rozradowana. - Jestem zaskoczona. Przyszliście tutaj, a ja myślałam że tkwicie z nosami przylepionymi do szyby w oddziale noworodków. Zanim odsłonią... - Urwała, spostrzegłszy ich zafrasowane miny. - Czy coś się stało?

Clif i Meg Powersowie wymienili spłoszone spojrzenia.

- Mamo? Tato? Co się stało? O Boże! Aaron! Coś się stało Aaronowi!? - Kyla, nie zważając na szarpiący ból między nogami, gwałtownym ruchem odrzuciła kołdrę, gotowa zerwać się i pędzić do sali noworodków.

Meg Powers pospieszyła, by ją powstrzymać.

- Nie, córeczko, uspokój się. Zapewniam cię, że dziecku nic nie jest.

- Kochanie - odezwał się miękko Clif Powers, kładąc dłoń na ręce córki - musimy ci coś powiedzieć. - Porozumiał się wzrokiem z żoną. - Dziś rano zbombardowano ambasadę w Kairze.

Dreszcz grozy przebiegł po skórze Kyli. Znieruchomiała, wpatrzona w rodziców szklanym, strwożonym wzrokiem. Serce podeszło jej do gardła.

- A Richard? - spytała zdławionym głosem.

- Nic o nim nie wiemy.
- Powiedzcie prawdę!
- Nic nie wiemy - powtórzył ojciec stanowczo. - Wszystko tonie w chaosie, sytuacja przypomina kryzys bejrucki. Nie wydano dotychczas oficjalnego komunikatu.
- Włącz telewizor.
- Kyla, nie powinnaś chyba...

Nie zważając na przestrogi ojca, Kyla sięgnęła po pilota leżącego na nocnym stoliku i włączyła telewizor, zawieszony wysoko na przeciwległej ścianie.

„Trudno na razie oszacować rozmiary zniszczeń. Prezydent uznał zamach bombowy za oburzający akt terroryzmu, wymierzony przeciwko miłującym pokój narodom. Premier... - Kyla jak szalona przełączała kanały, wciskając na chybił trafił guziczki pilota dygocącymi palcami. - . . .jest znacząca, choć dokładna liczba ofiar będzie znana prawdopodobnie dopiero za kilka dni. Postawiono w stan gotowości oddziały piechoty morskiej, które wraz z egipskimi żołnierzami przeczesują rumowisko w poszukiwaniu ofiar".

Nieostry, fragmentaryczny i nie zmontowany film, wykonany amatorską kamerą, przedstawiał istne pandemonium wokół rumowiska. „Do zamachu przyznała się terrorystyczna grupa pod nazwą"...

Kyla ponownie zmieniła kanał. Wszystkie stacje podawały mniej więcej to samo. Kiedy na ekranie ukazał się obraz odnalezionych ofiar, ułożonych na ziemi równym szeregiem, nie wytrzymała, odrzuciła pilota i zakryła twarz rękami.

- Richard! Richard!
- Kochanie, nie trać nadziei. Podobno wiele osób prze-

żyło. - Pełne otuchy słowa pocieszenia trafiały jednak w próżnię. Meg objęła łkającą córkę i mocno przytuliła do siebie.

- To stało się o świcie, według czasu kairskiego - powiedział Clif. - Dowiedzieliśmy się, gdy wstaliśmy z łóżka. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na jakąś wiadomość.

Wiadomość nadeszła trzy dni później; żołnierz piechoty morskiej przyniósł ją do domu Powersów. Kyla, widząc służbowy samochód parkujący przy krawężniku, zdała sobie sprawę, że podświadomie czekała na ten moment. Skinęła ojcu ręką na znak, że sama chce otworzyć.

- Pani Stroud?

- Tak.

- Jestem kapitan Hawkins. Spadł na mnie ten przykry obowiązek zawiadomienia pani...

- Ależ, kochanie, to cudownie! - wykrzyknęła Kyla. - Dlaczego spuściłeś nos na kwintę? Powinieneś skakać z radości!

- Do diabła, nie chcę wyjeżdżać do Egiptu, kiedy jesteś w ciąży - odparł Richard.

- Przyznaję, że mnie to też się nie podoba, ale to dla ciebie zaszczyt. Nie każdego żołnierza piechoty morskiej posyłają na tak odpowiedzialną placówkę. Tylko najlepszych wybierają do ochrony ambasad. Jestem z ciebie bardzo dumna.

- Nie muszę się na to zgadzać. Mogę złożyć prośbę o…

- Richard, to jest twoja życiowa szansa! Myślisz, że darowałabym sobie, gdybyś z niej zrezygnował ze względu na mnie?

- Nie ma nic ważniejszego niż ty i dziecko.

- Nic nam się nie stanie - uścisnęła go serdecznie. - To twoja ostatnia podróż, bajeczna okazja, jaka zdarza się tylko raz.

- Nie mogę zostawić cię samej.

- Zamieszkam z rodzicami. To będzie ich pierwszy wnuk, oszaleją na jego punkcie. Zapewniam cię, że otoczą nas troskliwą opieką.

Ujął jej twarz w obie dłonie.

- Czy już ci mówiłem, że jesteś niezwykła?

- Czy to znaczy, że mam się nie martwić o tajemnicze kobiety Wschodu?

Udał, że poważnie rozpatruje tę kwestię.

- A umiesz kręcić brzuchem tak jak one?

Wymierzyła mu kuksańca.

- To by dopiero był widok, w moim stanie.

Kyla przypomniała sobie tę rozmowę sprzed siedmiu miesięcy, wpatrując się w przykrytą flagą urnę z prochami. Zimne podmuchy wiatru unosiły ponad cmentarzem żałobne dźwięki samotnej trąbki. Żołnierze piechoty morskiej pełnili wartę, wyprężeni na baczność w odświętnych mundurach.

Richarda pochowano obok jego rodziców, którzy zmarli, rok po roku, jeszcze nim poznał Kylę. „Zanim cię spotkałem, byłem zupełnie sam na świecie" - wyznał jej kiedyś. Odpowiedziała wtedy: „Ja *też"*. Wydawał się zaskoczony. „Masz przecież rodziców" - zauważył. Odparła na to: „Ale nigdy z nikim nie byłam tak naprawdę, do końca, razem".

Kochali się bardzo i rozumieli bez zbędnych słów.

Jego prochy przypłynęły do kraju statkiem w zaplombowanej urnie. Poradzono Kyli, by jej nie otwierała. Nie pytała, dlaczego. Po budynku w Kairze została jedynie

sterta gruzów i popiołu. Bomba wybuchła o świcie, większość dyplomatów o tak wczesnej porze nie dotarła jeszcze do pracy. Zginęli ci, którzy -jak jej mąż - kwaterowali na terenie ambasady.

Przyjaciel Clifa zaproponował Powersom, żeby na pogrzeb do Kansas polecieli jego prywatnym samolotem. Kyla, ze względu na pory karmienia, nie mogła zostawić Aarona na dłużej niż kilka godzin.

Wzdrygnęła się, kiedy wręczano jej amerykańską flagę, zdjętą z urny i ceremonialnie złożoną. Urna wydała jej się bezradnie naga. Przemknęła jej przez głowę irracjonalna myśl, czy Richardowi nie jest zimno.

Mój Boże, jak ma go opuścić, dumała zgnębiona. Ma tak po prostu odwrócić się i odejść, zostawić ten świeży grób jak bolesną, otwartą ranę? Wsiąść do samolotu i odlecieć do Teksasu, porzucić Richarda w tej jałowej, obcej ziemi, którą nagle całą duszą znienawidziła?

Nie miała jednak wyboru. Cząstkę Richarda właśnie pogrzebano. Lecz ich mały synek Aaron, druga cząstka Richarda, czekał na jej powrót.

- Nie pozwolę ci umrzeć - przemówiła Kyla, kiedy pastor odprawił modlitwy. - Będziesz zawsze żył w moim sercu. Kocham cię, Richardzie. Będziesz zawsze żył, dla Aarona i dla mnie.

Tkwił w zwojach bandaży niczym w bawełnianej kuli. Od czasu do czasu nieznośne hałasy wdzierały się w ochronną powłokę miękkiego kokonu. Każdy ruch odczuwał jak trzęsienie ziemi, najlżejszy szmer rozdzierał mu czaszkę, a światło stawało się źródłem bezlitosnej udręki.

Zmuszony jakąś niepojętą siłą, ostrożnie, powoli,

sprawdzając każdy najdrobniejszy przejaw czucia w stopach i dłoniach, zaczął się wydobywać z bezpiecznej białej osłony na spotkanie nieznanego, które przerażało.

Leżał na plecach. Oddychał. Jego serce biło. Tylko tego był pewien.

- Czy pan mnie słyszy?

Usiłował obrócić głowę w stronę, z której dochodził łagodny głos, lecz ostry ból przeszył mu czaszkę niczym seria z karabinu.

- Obudził się pan? Może pan mówić? Co pana boli?

Z trudem udało mu się sięgnąć językiem do spierzchniętych warg. Chciał je zwilżyć, lecz wyschnięte gardło paliło bezlitośnie. Spróbował podnieść prawą rękę.

- Proszę leżeć spokojnie. Ma pan do tej ręki podłączoną kroplówkę.

Po usilnej walce zdołał uchylić powieki. Przez chwilę patrzył przez siatkę zlepionych rzęs. Potem udało mu się wąskie szparki oczu odrobinę rozewrzeć. Ujrzał przed sobą nieziemskie zjawisko, unoszącego się nad nim białego anioła, w fartuchu i czepku. Pielęgniarka?

- Jak się pan miewa?

Głupie pytanie, moja pani.

- Gdzie... - nie rozpoznał chrapliwego skrzeku, jaki wydobył się z jego gardła.

- Jest pan w wojskowym szpitalu w Niemczech.

Niemcy? Chyba wypił o wiele więcej poprzedniego dnia, niż sądził. To jakiś koszmarny sen.

- Martwiliśmy się o pana. Był pan przez trzy tygodnie w śpiączce.

W śpiączce? Trzy tygodnie? Niemożliwe. Wczoraj umówił się z córką pułkownika, oblecieli wszystkie nocne

bary w Kairze. Dlaczego, do cholery, ta anielica mu teraz wmawia, że leżał w śpiączce... gdzie? W Niemczech?

Kontury przedmiotów w tym dziwnym pokoju zamazywały mu się przed oczami. Coś...

- Proszę się nie niepokoić, przez jakiś czas będzie pan widział niewyraźnie. Ma pan zabandażowane lewe oko - powiedziała pielęgniarka. - Proszę leżeć spokojnie, pójdę zawiadomić lekarza, że pan się obudził.

Znikła, jak gdyby była dziwacznym wytworem podstępnej wyobraźni. Pokój kołysał się i chybotał, sufit przybliżał się i oddalał w pulsującym rytmie. Światło lampy raziło go w oczy...oko? Siostra powiedziała, że ma zabandażowane lewe oko. Wbrew jej zaleceniom, postanowił podnieść prawą rękę. Wymagało to herkulesowej siły, a i tak ruch ten trwał niemal całą wieczność. Plaster przytrzymujący igłę kroplówki nieprzyjemnie ciągnął włosy na ręku. Zmusił się, by unieść, na cal ledwie, owiniętą bandażami głowę, i spojrzał na swoje ciało.

Rozdzierający krzyk, jak by z samego wnętrza piekieł, odbił się echem po szpitalnych korytarzach. Lekarz i pielęgniarka wpadli do sali.

- Ja go potrzymam, a pani niech zrobi mu zastrzyk - polecił lekarz. - Jak się będzie tak miotał, pozrywa wszystkie opatrunki.

Pacjent poczuł ukłucie igły na prawym udzie i zawył z bezsilności. Nie mógł mówić, ruszać się ani walczyć. Zaczęła otulać go aksamitna ciemność, a sprawne ręce ułożyły jego bezwolne ciało na poduszkach. Zapadł w błogie, uwalniające od strachu odrętwienie.

Dryfował na krawędzi świadomości przez wiele dni, a może tygodni? Zatracił poczucie czasu, odmierzanego

porami, kiedy zmieniano butelki z płynem fizjologicznym, mierzono ciśnienie, sprawdzano wystające z jego ciała cewniki i rurki. Raz udało mu się rozpoznać pielęgniarkę, innym razem głos lekarza. Krzątali się wokół niego jak troskliwe duchy, widmowe zjawy z innej rzeczywistości.

Stopniowo budził się coraz częściej, poznawał salę i miarowy szum aparatury, do której go podłączono. Coraz jaśniej uświadamiał sobie swój ciężki stan.

Nie spał, kiedy przyszedł lekarz, sprawdzając coś w karcie wetkniętej za metalową ramkę.

- Dzień dobry - przywitał się, zauważywszy nieruchome spojrzenie pacjenta. Przeprowadził rutynową kontrolę, po czym przysiadł na brzegu łóżka. - Czy pan jest świadomy faktu, że leży pan w szpitalu?

- Czy to… czy ja… to był wypadek?

- Nie, sierżancie Rule. Miesiąc temu terroryści dokonali zamachu bombowego na ambasadę w Kairze. Należy pan do tych nielicznych szczęśliwców, którzy przeżyli. Odkopano pana spod sterty gruzów i przetransportowano tutaj. Kiedy pan wydobrzeje, wróci pan statkiem do domu.

- A co… co mi jest?

Cień uśmiechu przebiegł po wargach lekarza.

- Łatwiej byłoby wymienić, co panu nie dolega. Mam mówić wprost?

Niedostrzegalny niemal gest zachęty skłonił lekarza do jasnego postawienia sprawy.

- Runął na pana fragment betonowej ściany i zmiażdżył całą lewą połowę ciała. Wszystkie kości po tej stronie są złamane, niektóre z przemieszczeniem. Poskładaliśmy pana na tyle, na ile to było możliwe. Resztą... - lekarz urwał na chwilę - resztą zajmą się specjaliści już w kraju. Czeka pana, przyjacielu, jeszcze kilka operacji i długa

rehabilitacja. Jakieś osiem miesięcy najmarniej, a na dobrą sprawę można uznać, że ponad rok.

Rozpaczliwa żałość, jaka odmalowała się na okolonej bandażami twarzy, wzruszyła nawet odpornego na ludzkie cierpienie lekarza. Lekarza, który zdobywał szlify na bitewnych polach w Wietnamie.

- Czyja... będę...?

- Trudno cokolwiek w tej chwili orzec. Wiele zależy od pana woli i determinacji. Chce pan znowu chodzić?

- Chcę biegać - odparł ponuro żołnierz.

Po ustach lekarza znowu przemknął cień uśmiechu.

- Świetnie. Na razie ma pan nabierać sił, żebyśmy mogli pana połatać jak należy.

Poklepał pacjenta po ramieniu i odwrócił się, zamierzając wyjść.

- Doktorze? - usłyszał ochrypłe rzężenie. - Co z moim okiem?

- Przykro mi, sierżancie - lekarz popatrzył na pacjenta ze współczuciem - oka nie udało się uratować.

Jedna jedyna łza potoczyła się po wychudzonym, zarośniętym policzku.

Następnego dnia ojcu Trevora Rule'a pozwolono widzieć się z synem. George Rule uścisnął synowi dłoń i ciężko usiadł w fotelu obok łóżka. Trevor nigdy nie widział łez ojca, nawet po śmierci matki, przed wielu laty. Teraz ten niezłomny prawnik z Filadelfii, który siał postrach wśród zeznających w sądzie krętaczy, gorzko płakał.

- Zdaje się, że wyglądam gorzej, niż myślałem - próbował żartować Trevor. - Jesteś zaszokowany?

George opanował się, przypomniawszy sobie przestrogi lekarza, by dodatkowo mi stresować pacjenta.

- Nie, nie jestem. Widziałem cię zaraz potem, jak tu trafiłeś. Trzeba przyznać, że przebyłeś od tamtej pory długą drogę.

- Trudno uwierzyć, bo teraz czuję się fatalnie.

- Kiedy leżałeś w śpiączce, pozwolono mi cię widywać raz dziennie. Od chwili przebudzenia nie dopuścili mnie ani razu. Wyzdrowiejesz, synu, wszystko będzie dobrze. Rozmawiałem już w Stanach z chirurgami ortopedami, którzy...

- Zrób coś dla mnie, tato.

- Cokolwiek zechcesz.

Stosunki syna z ojcem nie układały się w przeszłości najlepiej. Trevor, zbyt pochłonięty innymi myślami, nie zauważył uderzającej zmiany, jaka zaszła w zachowaniu George'a.

- Sprawdź, czy na liście ofiar nie ma sierżanta Richarda Strouda.

- Synu, nie powinieneś martwić się...

- Zrobisz to, tato? - wyszeptał Trevor, wyczerpany wizytą.

- Oczywiście - zapewnił pospiesznie George, widząc niepokój na twarzy syna. - Mówisz, Stroud?

- Tak. Richard Stroud.

- Twój przyjaciel?

- Tak. Modlę się, żeby był żywy. Jeśli zginął, to z mojej winy.

- Jak to z twojej winy?

- Zasnąłem w jego łóżku i to jest ostatnia rzecz, jaką pamiętam.

- Hej, Stroud! Chłopie, nie śpisz?

- Już nie - odburknął Richard. - Co ty, Buźka, zalałeś

się w pestkę? - Usiadł na łóżku i strząsał z powiek resztki snu. - Nieźle się zabawiałeś przez weekend.

- Aa, cudooownie! Słuchaj, stary, miałeś już kiedyś orgazm?

- Porządnie się ubzdryngoliłeś, nie ma co - zaśmiał się Stroud. - Daj, pomogę ci zdjąć spodnie.

Wskazujący palec Buźki wylądował chwiejnie na nosie Strouda.

- Wiesz co, brachu? Tobie to pewnie chodzą po głowie jakieś kosmate myśli. Co? A ja ci mówię, że sobie golnąłem nieco gorzałki z likierem, a ten boski napój nazywał się Orgazm... Ej, ściągnąłeś mi spodnie?

- Zrobię to, jeśli podniesiesz nogi.

- Oops! - Trevor Rule zwalił się jak kłoda na przyjaciela. - Znasz Becky? - dopytywał się z głupkowatym, nieco frywolnym uśmiechem.

- Sądziłem, że ma na imię Brenda. - Richard usiłował wyplątać się z uścisku Trevora.

- A, taa. Zdaje się, że masz rację. Niezła sztuka. Nogi po samą szyję, uda jak ta lala. Kapujesz?

Stroud zachichotał, kiwając głową przytakująco.

- Taa, kapuję. Nie sądzę, żeby pułkownik Daniels był zachwycony twoimi uwagami na temat nóg jego córki.

- Chyba ją kocham - Trevor wybełkotał te słowa ze śmiertelną powagą pijaka, podkreślając ich znaczenie głośnym czknięciem.

- Jasne. W zeszłym tygodniu kochałeś się w brunetce z drugiego piętra, sekretarce. Dwa tygodnie temu w reporterce agencji Associated Press. A teraz, Buźka, grzecznie pójdziesz spać. - Próbował bezskutecznie dźwignąć bezwładne ciało przyjaciela. - Albo mam lepszy pomysł. Prześpisz się w moim łóżku.

W odpowiedzi sierżant Rule rozwalił się na poduszce, a błogi wyraz bezmyślności spłynął na jego oblicze. Stroud, któremu oczy zamykały się same, dotarł w drugi koniec pokoju i ułożył się do snu na posłaniu Trevora.

- Karaluchy pod poduchy - usłyszał. Trevor machał do niego, chichocząc głupkowato.

- A szczypawki do zabawki - odparł wesoło Richard.

Żaden z nich nie obudził się następnego ranka.

Trevor powracał do zdrowia dłużej, niż się tego spodziewano. Po miesiącu przebywania w szpitalu w Niemczech przewieziono go do kraju. Specjaliści podczas badań ponuro kiwali głowami. Lewa strona jego ciała przypominała bezkształtną masę.

- Naprawcie, co się da - nalegał Trevor - a mnie zostawcie resztę. Macie to jak w banku, że wyjdę stąd o własnych siłach.

Pielęgniarki czytały mu prasowe relacje z zamachu na ambasadę. Przyjmował je początkowo z niedowierzaniem, potem z rozpaczą, a w końcu z gniewem. Gniew podziałał ożywczo - dodał mu sił do walki z cierpieniem, pozwolił przezwyciężyć uraz wywołany kolejnymi operacjami i znieść wyczerpujące ćwiczenia. Zapuścił włosy, a pielęgniarkę, która codziennie przychodziła golić mu zarost, poprosił, by zostawiła wąsy. Nie zgodził się na wstawienie protezy oka.

- Wygląda pan tak... zawadiacko - orzekła jedna z pielęgniarek.

Skupiły się gromadką wokół jego łóżka, kiedy lekarz przymierzał mu czarną przepaskę na oko.

- Pasuje do ciemnych kręconych włosów - zawyrokowały. Połowa z nich kochała się w Trevorze na zabój. Mi-

mo okropnych ran zachował muskularną, postawną sylwetkę. Siostry bezustannie rozprawiały w swoim pokoju o jego przystojnej twarzy, długich nogach, szerokich barach i wąskich biodrach.

- Jeśli pan tu zostanie, nie opędzi się pan od kobiet nawet kijem.

- Raczej kulą - odparł ponuro, oglądając się w ręcznym lusterku, które ktoś mu podsunął.

- Niech się pan nie poddaje - zachęcał lekarz. - Dopiero zaczęliśmy rehabilitację.

Monotonne dni, wszystkie nużąco do siebie podobne, dłużyły się w nieskończoność. Za oknem zmieniały się pory roku. Aby kompletnie nie stracić rachuby czasu, Trevor codziennie robił notatki w podręcznym kalendarzu.

Pewnego popołudnia sanitariusz, który wpadał niekiedy po dyżurze rozegrać z Trevorem partyjkę pokera, cisnął na krzesło przy łóżku sportową torbę.

- Co to jest?

- Wszystko, co udało się uratować z kwatery w Kairze. Pański ojciec powiedział, że pewnie będzie pan chciał poszperać w tych rzeczach.

W torbie nie znalazł nic godnego uwagi, poza jednym drobiazgiem.

- Proszę mi podać to metalowe pudełko.

Było to niepozorne, kwadratowe zielone pudełko, z wieczkiem na zawiasach i zamkiem szyfrowym. Jakimś cudem Trevor zapamiętał szyfr. Przekręcił zamek i podniósł wieczko.

- Co tam jest? - Sanitariusz zaglądał mu przez ramię. - Wygląda jak plik listów.

Trevor poczuł w piersiach nagły ucisk.

- To jest plik listów - wybąkał. Żywo stanęła mu przed oczami scena, która rozegrała się owego popołudnia.

- Cześć, Buźka.

- Witaj, Stroud.

- Masz jeszcze to pudełko, w którym trzymałeś pokerowe wygrane?

- Mam, a bo co?

- Gdybyś się zgodził, chciałbym przechowywać w nim te listy. - Richard zakłopotany pokazał Trevorowi paczuszkę przewiązaną czerwoną wstążką.

- Hm. To pewnie listy od żony, przez którą żyjesz jak mnich.

- Taa - przyznał zawstydzony Richard.

- Nie wiedziałem, że potrafi pisać.

- Coo?

- Nie wiedziałem, że aniołowie zajmują się tak przyziemnymi sprawami. - Trevor wymierzył przyjacielowi kuksańca prosto w żebra.

- Przestań. I tak chłopaki nabijają się ze mnie, że trzymam te listy. Lubię je czytać po kilka razy.

- Wyznania miłosne, co? - Zielone oczy Trevora błysnęły figlarnie.

- Nawet nie to, po prostu są bardzo osobiste. To co z pudełkiem?

- Dobra, jasne, bierz. Żeby otworzyć, trzeba przekręcić zamek na czwórkę.

- Czwórkę? Dzięki, stary.

Poszli na piwo i Trevor zapomniał o listach.

Aż do tej chwili. Zatrzasnął wieczko. Czuł się tak winny, jak gdyby podglądał kochanków w sypialni przez dziurkę od klucza.

- Zatrzymam tylko to pudełko. Resztę proszę wyrzucić - zwrócił się do sanitariusza z nutką irytacji w głosie.

Sam nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Prawdopodobnie ta decyzja wiązała się z dręczącym poczuciem winy, że on przeżył, a Stroud zginął. Powtarzał sobie setki razy, w trakcie uciążliwych, popołudniowych ćwiczeń, że przeczytanie tych listów będzie pogwałceniem prywatności człowieka, który nie żyje.

Lecz kiedy zapadł zmierzch, skończył się czas wizyt i szpitalne korytarze opustoszały, gdy rozniesiono lekarstwa, a pielęgniarki udały się do dyżurki - Trevor sięgnął po pudełko i położył je przed sobą.

Czuł się bardzo samotny. W zimnej, bezosobowej, odartej z intymności atmosferze szpitala tęsknił za ciepłym dotykiem kobiecej dłoni, czułymi słówkami, nabrzmiałą oczekiwaniem bliskością. Z niesmakiem odkładał podrzucane mu cichcem przez życzliwego pielęgniarza egzemplarze „Playboya" - z okładek słały sztuczne uśmiechy frywolnie upozowane kobiety.

Autorka listów była zaś realną, żywą osobą.

Wieczko odskoczyło bezgłośnie, pod palcami zaszeleścił papier. Cofnął rękę, lecz po chwili dłoń sama mimowolnie powędrowała z powrotem w stronę pudełka.

Posortował dwadzieścia siedem listów i ułożył je w porządku chronologicznym, usiłując odroczyć moment, w którym popełni śmiertelny, jak sądził, grzech. Potem otworzył pierwszą kopertę i pogrążył się w lekturze.

ROZDZIAŁ 2

7 września

Kochany mój Richardzie!

Minęło zaledwie kilka tygodni od twojego wyjazdu, a mnie się wydaje, że upłynęły lata. Moja tęsknota za tobą staje się uporczywą obsesją. Czasem odnoszę wrażenie, że cię dostrzegam w tłumie, i serce zaczyna mi bić jak szalone w radosnym uniesieniu. A potem przychodzi gorzkie rozczarowanie, bo to był tylko ktoś do ciebie podobny...

15 września

Najdroższy Richardzie!

Śniłeś mi się dzisiejszej nocy, obudziłam się zalana łzami...

16 września

Kochany mój!

Wybacz mi wczorajszy list. Miałam taką chandrę...

2 października

Najdroższy Richardzie!

Wyobraź sobie, że dziecko zaczęło kopać! Och, kochany! Nie potrafię Ci wprost opisać, jakie to niesamowite wrażenie. Najpierw leciutko się przekręcił (jestem pewna, że to chłopiec!). Wstrzymałam oddech i zamarłam w bezruchu. Potem kopnął całkiem mocno. Z radości na przemian śmiałam się i płakałam, aż rodzice przybiegli zobaczyć, co się stało. Te ruchy są takie słabiutkie, że rodzicom nie udało się ich wyczuć. Ale gdybyś Ty był tu ze mną i dotknął mojego brzucha, wiem, że na pewno byś je wyczuł. Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

25 października

Odbyłeś więc wspaniałą wycieczkę do piramid? Zazdroszczę ci! Ja i mama pojechałyśmy wczoraj na zakupy do North Park. Tu, w Dallas, robi się coraz większy tłok na ulicach. Byłam tak zmęczona, że po powrocie do domu ledwo wdrapałam się po schodach do swojego pokoju. Tata podał mi kolację do łóżka. Za to dzień spędziłyśmy bardzo produktywnie. Nie będę chyba musiała niczego małemu kupować do szóstego roku życia!

Uśmieliśmy się z twojej opowieści o żonie konsula. Naprawdę się tak ubiera ? Io twoim przyjacielu Buźce. Lepiej trzymaj się od niego z daleka! Mam wrażenie, że wywiera zły wpływ na żonatego mężczyznę, który niedługo zostanie ojcem...

Święto Dziękczynienia

Strasznie za tobą tęsknię. Wczoraj wieczorem wybrałam się z Babs do kina. Nie spodziewałam się, że to będzie erotyczny film. Teraz pragnę cię tak bardzo! Co za wstyd! Stateczne damy w ciąży nie powinny zachowywać się jak kotki w okresie rui, prawda ? Dziś jest zimno i pada deszcz

i myślę sobie, że odciągnęłabym cię - gdybym miała taką szansę - od meczu, który transmitują w telewizji.

21 grudnia

Mój kochany!

Dostałam wczoraj twój list i śmiałam się do rozpuku. Chcesz, żebym trzymała się z daleka od Babs? Załatwione, jeśli ty przestaniesz zadawać się z tym Buźką. Nie cierpię takich facetów jak on. Wydaje mu się, że jest dla kobiety darem niebios. Nawet jeśli jest tak szatańsko przystojny, jak piszesz, wiem, że nigdy go nie polubię...

24 grudnia

Najdroższy mój!

Dni zrobiły się krótkie, ale dłużą się niemiłosiernie. Jestem smutna i przygnębiona, najchętniej przespałabym całe Boże Narodzenie. Wszyscy naokoło są w takim podniosłym, uroczystym nastroju, szykują się do świąt, cieszą się, że spędzą je wspólnie z ukochanymi. A ja? Czuję się jak ktoś obcy w świecie stworzonym dla par. Gdzie jesteś? Mama i tata martwią się trochę moim depresyjnym nastrojem. Robią, co mogą, żeby mnie rozweselić. Ale ja tak tęsknię za tobą, że nic nie jest w stanie mnie pocieszyć. Paczki, które przysłałeś, położyłam pod choinką. Tata sprężył się i kupił w tym roku moją ulubioną jodłę, naprawdę cudowną. Mam nadzieję, że prezenty dotrą do Ciebie na czas. Wszystkie prezenty oddałabym za twój jeden długi, namiętny pocałunek. Och, Richard, tak cię kocham. Wesołych Świąt, najdroższy.

11 stycznia

Czuję się dużo lepiej, święta mam już za sobą i minęła

potowa twojego pobytu w Kairze. Mam kłopoty ze spaniem. Jeśli chcesz wiedzieć, twój syn poczyna sobie niczym napastnik na boisku, a co najmniej pomocnik Jak dorośnie, pewnie zwerbują go do drużyny Cowboyów! Przy okazji, odpowiada ci imię Aaron? Oczywiście, jeśli to będzie chłopiec. Na razie nie wybrałam imienia dla dziewczynki.

Wpadłbyś w upojenie na widok moich piersi, takie są ogromne. Niestety, cała reszta też Nie przypuszczałam, że kobieta w ciąży tak się zmienia. Nawet sutki mi urosły. Przygotowuję się do karmienia piersią. Szkoda, że nie możesz mi w tym pomóc, łatwiej by mi poszło.

Nieustannie myślę o cudownym okresie pielęgnowania naszego dziecka... Aarona...

25 stycznia

To był najbardziej przerażający sen w moim życiu. Obudziłam się cała spocona ze strachu. Od dziś aż do porodu będę unikać chili!

Czy Buźka pojechał z tobą na wycieczkę do Aleksandrii podczas weekendu? Nie wspomniałeś o nim ani słowa, mam wrażenie, że celowo przemilczałeś ten fakt. Jeśli uczynisz jakiś nierozważny krok, na przykład zadasz się z jakąś rozpustną tancerką, nic nie chcę o tym wiedzieć. Czuję się jak rozdęta krowa, wczoraj cały dzień wylewałam łzy, że jestem taka gruba... Zaraz potem opychałam się bananowym deserem, Babs zapewniała, że to mnie pocieszy (trzy łyżki czekolady i mielonych migdałów!). Czasami wpadam w rozpacz że już nigdy cię nie zobaczę. Wydajesz mi się nierealnym marzeniem sennym. Potrzebuję cię, kochanie, muszę wiedzieć, że mnie kochasz. Tak jak ja ciebie... całym sercem...

- Wypuszczą cię w przyszłym tygodniu?

Trevor odwrócił się od okna.

- Taa. W końcu.

- To świetnie, synu - odparł George Rule z przejęciem. - Wyglądasz jak nowo narodzony.

- No, może niezupełnie.

W głosie Trevora nie było goryczy. Trzynaście miesięcy, które spędził w szpitalu, uświadomiły mu, że miał niebywałe szczęście. Nie został przykuty do wózka inwalidzkiego, jak większość tutejszych pacjentów. Chodził, utykał co prawda, ale mógł chodzić. Przywykł do czarnej opaski i przestał potykać się o sprzęty. Prawie zapomniał, jak to było, kiedy miał dwoje oczu.

- Zalecili mi cotygodniową rehabilitację w szpitalu, ale się nie zgodziłem. Będę sam ćwiczył w domu.

- Co masz zamiar dalej robić? - spytał z wahaniem George.

Wybór kariery Trevora po ukończeniu Harvardu stał się kością niezgody między nimi. Trevor wstąpił do piechoty morskiej na znak buntu przeciwko ojcu, który zaplanował dla syna karierę prawniczą i był głuchy na wszelkie inne propozycje.

- To, co zawsze planowałem, tato. Zajmę się budownictwem.

- Rozumiem. - George starał się powściągnąć jawny grymas rozczarowania. Już raz, przez swoją apodyktyczność, omal nie stracił syna. Trevor otarł się o śmierć i teraz George za nic nie chciał utracić dziecka. - Dokąd się wybierasz?

- Do Teksasu.

- Do Teksasu - powtórzył George głucho; równie dobrze mógłby wybierać się na Marsa.

Trevor roześmiał się.

- Słyszałeś o boomie budowlanym w południowych stanach? Tam się wiele dzieje. Szmat ziemi czeka na zagospodarowanie. Wybrałem małe miasteczko Chandler w pobliżu Dallas. Tamtejsza społeczność szybko się rozwija, a ja mam zamiar czerpać z tego profity.

- Będziesz potrzebował gotówki.

- Dostanę żołd i odszkodowanie.

- To nie wystarczy, żeby rozkręcić firmę.

Trevor przyjrzał się ojcu badawczo.

- Na ile, tato, szacujesz dyplom prawnika z Harvardu?

- Załatwione. - George skinął głową. Ojciec i syn uścisnęli sobie ręce.

- Dzięki.

Wieczorem spakował swoje rzeczy i wyciągnął się na szpitalnym łóżku po raz ostatni. Podniecenie nie pozwoliło mu zasnąć. Trafiła mu się druga życiowa szansa. Tej nie zaprzepaści tak, jak poprzedniej. Dosyć tracenia czasu na beznadziejne, młodzieńcze bunty i lekkomyślne zachcianki. Czeka go bowiem misja do spełnienia.

Sięgnął po metalowe pudełko, które stale trzymał pod ręką. Z upodobaniem powracał do kształtnego, kobiecego pisma, choć znał wszystkie listy na pamięć. Wybrał jeden z nich, tylko pozornie przypadkowo.

...przestań zadawać się z tym Buźką. Nie cierpią takich facetów jak on. Wydaje mu się, że jest dla kobiety darem niebios. Nawet jeśli jest tak szatańsko przystojny, jak piszesz, wiem, że go nigdy nie polubię.

Trevor starannie schował list do koperty. Długo jeszcze nie mógł zasnąć.

Po prostu piękna.

W ciągu ostatnich kilku tygodni widział ją wielokrotnie, lecz nigdy z tak bliska i przez tak długi czas. Napawał się tym widokiem.

Nie potrafił określić koloru jej włosów. Z pewnością nie rude, ale też płomienne, połyskliwe pasemka nie pozwalały nazwać jej blondynką. Określenie truskawkowa blondynka zanadto kojarzyło się z przesłodzoną, lalkowatą urodą, a Kyla Stroud promieniała świetlistą energią niczym słoneczny blask.

Swe niewiarygodne włosy wiązała w zwyczajny kucyk, opadający na kark splotem wijących się loków, podobnych do tych, które, przekornie wymykając się z uwięzi, okalały jej twarz.

Twarz tę, o kształcie misternie wycyzelowanego serca, wieńczyło gładkie, wysokie, inteligentne czoło. Ciemne łuki nieskazitelnie zarysowanych brwi nad szeroko rozstawionymi oczami i delikatnie ukształtowany podbródek dopełniały całości. Policzki Kyli barwił rumieniec o naturalnym odcieniu dojrzałej brzoskwini.

Miała na sobie płócienne brązowe spodnie i bawełnianą koszulową bluzkę w prążki z podwiniętymi do łokci rękawami. Smukła, młodzieńcza figura zachwycała proporcjami.

Była w każdym calu... doskonała.

Kiedy Kyla zwracała się do dziecka, mały berbeć zdawał się rozumieć jej słowa, odpowiadał uśmiechem na jej uśmiech. Oboje nic sobie nie robili ze spacerowiczów, tłumnie oblegających w to sobotnie popołudnie sklepy, stragany i promenadę.

Poszła na ustępstwo i kupiła lody w rożku. Zwinnie manewrowała wózkiem, przedzierając się przez zbitą ciżbę

w kierunku pobliskiej ławki. Brzdąc rozmazał lody po ubranku, ku uciesze matki, która zaśmiewała się serdecznie, upominając jednocześnie malca, że zachowuje się jak świnka. Zarekwirowała rożek, trzymała go w jednej ręce, drugą zręcznie manipulowała serwetką. Potem przykazała Aaronowi grzecznie siedzieć i rozejrzała się za koszem na śmiecie.

Kiedy tylko odwróciła się plecami, szkrab ześlizgnął się z ławki i tak szybko, jak pozwalały mu na to krótkie, silne nóżki, podreptał w stronę tryskającej tysiącami roziskrzonych kropli fontanny, otoczonej głębokim na dwie stopy basenem.

Trevor, który dotąd niedbale wsparty o ścianę obserwował matkę i syna, odruchowo zmienił pozę. Oderwał na moment wzrok od małego i spostrzegł, że Kyla, wyrzuciwszy upapraną lodami serwetkę do pojemnika, odwraca się i w tej sekundzie na jej twarzy pojawia się wyraz przerażenia.

Trevor zaczął torować sobie drogę poprzez zbity tłum. Chłopiec wspinał się właśnie na okalającą fontannę kamienną balustradę.

- O Boże! - wymamrotał Trevor, odpychając na bok mężczyznę z fajką. Przyspieszył kroku, lecz za późno. Zobaczył, jak malec przechyla się przez balustradę i ląduje w wodzie.

Trevor dopadł fontanny, przerzucił nogę przez balustradę i chwyciwszy chłopca pod pachy - wyciągnął go z basenu.

- Aaron! - Kyla, ogarnięta paniką, przepychała się między ludźmi.

Ociekający wodą Aaron ciekawie przypatrywał się obcemu mężczyźnie, który unosił go w ramionach. Gawo-

rząc, uśmiechnął się do swojego wybawcy, ukazując dwa rzędy dziecięcych ząbków. Wokół fontanny zebrała się spora gromadka ciekawskich. Odsunęli się, by zrobić Trevorowi miejsce.

- Nic mu nie jest?
- Co się stało?
- Gdzie jest jego matka?
- Jak tak można puszczać dziecko samopas.
- Przepraszam, przepraszam. - Kyla łokciami torowała sobie drogę przez zbity wianuszek gapiów. - Aaron! - Porwała dziecko z ramion Trevora i przycisnęła do piersi, nie zważając na ociekające wodą ubranko. - Och, kochanie. Nic ci nie jest? Tak wystraszyłeś mamusię. O Boże!

W tym momencie przygoda zamieniła się w nieszczęście. Oczy Aarona napełniły się łzami, twarzyczka wykrzywiła żałośnie, a drżące wargi ułożyły do płaczu.

- On jest ranny, Boże, jest ranny! - wyrzucała z siebie spazmatycznie Kyla.

- Odejdźmy trochę dalej, o tam. Proszę państwa, proszę nas przepuścić. Nic mu się nie stało, wystraszył się tylko.

Kyla niejasno uświadamiała sobie obecność postawnego mężczyzny u swojego boku. Pozwoliła mu poprowadzić się do pobliskiej ławki. Tuląc zapłakanego synka, spojrzała nieprzytomnym ze strachu wzrokiem na jego wybawcę. Powiodła spojrzeniem po wysokiej sylwetce, sumiastych wąsach i czarnej opasce na lewym oku.

- Dziękuję - wydusiła z siebie, z trudem łapiąc oddech.

- Nic mu nie jest. - Postawny mężczyzna przysiadł obok niej na ławce. - Bardziej przestraszył się pani reakcji.

- Chyba ma pan rację. Trochę przesadziłam.

Aaron powoli się uspokajał, matka ocierała mu łzy z rumianej, okrągłej buzi.

- Śmiertelnie mnie przeraziłaś, Aaronie Stroud - zbeształa malca, po czym spojrzała na siedzącego obok mężczyznę. - Na szczęście, zdążył pan w samą porę.

Miała brązowe oczy o aksamitnym, głębokim spojrzeniu, w którym można było zatonąć.

- Mały jest żywy jak srebro. Przyglądałem się, jak je lody - wyjaśnił, dostrzegając iskierkę ciekawości w jej ciemnych oczach.

- Och - bąknęła. Szkoda, że stracił oko, pomyślała. Bowiem to drugie, którym na nią patrzył, było cudownie zielone, obramowane gęstą obwódką czarnych rzęs. - Wskoczył pan do fontanny?

Roześmiał się, spoglądając na mokre do kolan dżinsy i buty, w których chlupotała woda.

- Pewnie tak. Nie pamiętam. Myślałem tylko o Aaronie.

- Zna pan imię mojego synka?

Serce podeszło Trevorowi do gardła.

- Sama go pani tak nazwała, tam, przy fontannie.

- Przykro mi, że tak się pan zamoczył.

- Nie ma sprawy, wyschnę.

- Te buty wyglądają na kosztowne.

- Aaron nie ma ceny. - Wziął pod brodę malca, który z zapamiętaniem żuł rękaw maminego swetra. - Pani jest cała mokra - dodał Trevor, omiatając Kylę przenikliwym, łakomym spojrzeniem, pod którym spłonęła ze wstydu.

- Ojej! - wykrzyknęła, jak gdyby nagle dotarło do jej świadomości, że ona i dziecko też są przemoknięci, a ubranie ściśle przylgnęło do jej ciała. - Raz jeszcze dziękuję

i do widzenia - rzuciła pospiesznie i zasłaniając się Aaronem jak tarczą, ruszyła ku najbliższemu wyjściu.

- Proszę zaczekać!
- O co chodzi?
- Nie zapomniała pani czegoś?
- Czego?
- Na przykład torebki. I wózka Aarona. Zostawiła go pani przy stoisku z lodami.
- Ach, ciągle... - Urwała, speszona własnym zachowaniem.
- ...ciągle jeszcze jest pani zdenerwowana. Wyobrażam sobie! Przyprowadzę wózek.
- I tak pan już dużo dla nas zrobił.
- Nie ma problemu.

Odszedł, nim zdążyła zaprotestować. Ukradkiem zlustrowała swoje przemoczone spodnie i bluzkę, po czym zerknęła na oddalającego się mężczyznę. Dopiero w tym momencie zauważyła, że nieznajomy nieznacznie utyka. Mimo to jego ruchy były sprężyste, a sylwetki - długie nogi, wąskie biodra, szerokie ramiona - mógłby mu pozazdrościć niejeden kulturysta. Kruczoczarne włosy łagodną falą zakrywały koniuszki uszu i opadały na kark. Kyla spostrzegła, że kobieta, którą minął, obejrzała się za nim. Opaska na oku, zamiast szpecić, przydawała mu nieco zawadiackiej tajemniczości.

- Raz jeszcze dziękuję - powiedziała, kiedy wrócił z jej torebką przewieszoną przez ramię, popychając przed sobą wózek Aarona.

Jakaż ona krucha, pomyślał.

Jakiż on wysoki, pomyślała.

Pochyliła się, usiłując wsadzić malca do wózka, lecz spotkała się z zawziętym oporem. Aaron prężył się i wyrywał, i za nic nie pozwalał się poskromić.

- Jest zmęczony - wyjaśniła Kyla tonem usprawiedliwienia, zażenowana tak niestosownym zachowaniem syna. Ciekawscy przechodnie bez żenady przyglądali się ociekającej wodą trójce.

- Pomogę pani zaprowadzić wózek do samochodu.

- W żadnym razie. Dość miał pan z nami kłopotów.

Błysnął rzędem równych białych zębów.

- Żaden kłopot.

- Cóż... - zawahała się.

Ten mężczyzna zaczynał ją drażnić, sama nie wiedziała, z jakiego powodu. Nienagannym zachowaniem zasłużyłby pewnie na odznakę skautowską. Nurtowała ją jednak niepokojąca myśl - choć żadnym gestem nie dał jej tego do zrozumienia - że pod jego kurtuazją kryje się mniej uprzejmy podtekst, i to działało jej na nerwy.

- Chodźmy, zanim Aaron...

Malec stawał się coraz bardziej krnąbrny. Wiercił się, a nawet, podenerwowany mokrym ubrankiem i całą sytuację, tarmosił mamę za włosy i uszy.

- No dobrze - zawyrokowała Kyla, wyplątując z zaciśniętych palców malca długi kosmyk. - Będę panu wdzięczna.

- Tędy? - spytał, wskazując głową najbliższe wyjście.

Rozejrzała się niepewnie.

- Nie, zaparkowałam po drugiej stronie Penney.

Jak przystało na dżentelmena, nie dociekał, dlaczego kilka minut temu spieszyła się do tego właśnie wyjścia, jak gdyby diabeł ją gonił, skoro zaparkowała po drugiej stronie Penney. Puścił ją przodem, sam sterując wózkiem w stronę wyjścia z centrum handlowego na końcu promenady.

- Nazywam się Trevor Rule - wstrzymał oddech, bacz-

nie obserwując jej twarz, lecz ponieważ nic nie wskazywało, że coś jej to mówi, odetchnął z ulgą.

- Jestem Kyla Stroud.
- Miło mi panią poznać. No i oczywiście Aarona.

Kyli przyszło do głowy, że taki uśmiech stanowił dla kobiet potencjalne niebezpieczeństwo. Trevor swoim wyglądem nieodparcie przyciągał wzrok zarówno rozchichotanych, zaczepnych, gotowych do flirtu nastolatek, jak i dojrzałych kobiet, chociaż trudno by go nazwać adonisem. W jego twarzy nie było nic ładnego. Dwie głębokie bruzdy żłobiły policzki od nozdrzy po kąciki ust. Następstwo wypadku i cierpienia, pomyślała. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści kilka lat. Rówieśnik Richarda.

Dojmujący, dobrze znany ból przeszył serce Kyli na wspomnienie męża. Gdyby żył, spacerowaliby razem i nie musiałaby korzystać z pomocy nieznajomego. Minęło prawie półtora roku od jego śmierci. Zgodnie z podręcznikową wiedzą, z czasem powinna otrząsnąć się z rozpaczy po tragicznej stracie. Jednak każdego dnia ogarniały ją wspomnienia, które starannie pielęgnowała. Obiecała przecież, że jej pamięć wciąż na nowo będzie przyzywać Richarda.

- De Aaron ma lat? - spytał niespodziewanie Trevor.
- Skończył piętnaście miesięcy.
- Jest silny jak na swój wiek, prawda? Niewiele wiem o dzieciach.
- O, tak, jest silny - roześmiała się, przekładając malca na drugie ramię. - Miał muskularnego ojca.
- Miał?

Dlaczego uchyliła furtkę? Wcale nie miała takiego zamiaru.

- Jego ojciec nie żyje.
- Przykro mi.

Naprawdę było mu przykro. A może nie?

Czekał na ten dzień od wielu miesięcy. Po wyjściu ze szpitala wpadł w wir nie kończących się formalności, związanych z zakładaniem własnej firmy. Ojciec dyskretnie wspierał jego wysiłki, by jak najbardziej ułatwić synowi start. Trevor pragnął nadrobić miesiące wyrwane z aktywnego życia, dlatego czas spędzany w biurze nieznośnie mu się dłużył. Wiele godzin przebywał też na powietrzu, dzięki czemu pozbył się chorobliwej, szpitalnej bladości. Setki razy wyobrażał sobie spotkanie z Kylą, usiłując przewidzieć jego przebieg, jej wygląd i reakcję. Niczego jednak nie ukartował. Do spotkania doszło zupełnie przypadkowo. Otwierając przed nią drzwi prowadzące na parking, po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł, że opuszczają go dręczące wyrzuty sumienia z powodu ostatniej nocy w Kairze i że znowu chce mu się żyć.

Kierowcy prześcigali się w fortelach, by zdobyć miejsce na wypełnionym po brzegi parkingu.

- Jest pan stąd, panie Rule? - zagadnęła tonem zwyczajnej konwersacji.

- Proszę mi mówić Trevor. Nie, nie jestem stąd. Przyjechałem tutaj miesiąc temu.

- Co cię sprowadza do Chandler?

Ty, pomyślał.

- Chciwość - powiedział.

- Słucham? - Spojrzała zaskoczona; niesforne złote pasemko muskało jej wargi.

- Jestem przedsiębiorcą budowlanym - odparł, z trudem hamując nagłą chęć odgarnięcia owego pasma i ucałowania tych zmysłowych ust, stworzonych do pocałunków. - Zwabiły mnie tu nieograniczone możliwości rozwoju.

- Ach, tak, rozumiem. To mój samochód. - Wskazała jasnoniebieskie kombi.

- Różowy Pączek? - odczytał napis z logo wymalowanego na drzwiczkach.

- Prowadzę z przyjaciółką kwiaciarnię.

Pięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt osiem Ballard Parkway. Znał ten sklep, okna wystawowe ocienione kolorową pasiastą markizą; wiedział, w jakich godzinach jest otwarty.

- Kwiaciarnię? Brzmi interesująco. - Odczekał, aż Kyla usadowi Aarona w dziecięcym foteliku, i pomógł jej wpakować do bagażnika złożony wózek. - Nie dziękuj. To była przyjemność. No, oprócz widoku Aarona w fontannie.

Kyla wzdrygnęła się.

- Nie chcę o tym nawet myśleć. - Przyglądała się Trevorowi dłuższą chwilę, szukając i nie znajdując odpowiednich słów na pożegnanie człowieka, który jej dziecku uratował życie. - No cóż, do widzenia - powiedziała zakłopotana kolejnym dylematem: podać rękę czy nie?

- Do widzenia.

Wślizgnęła się za kierownicę i zatrzasnęła drzwiczki. Odsunął się, pomachał na pożegnanie i odszedł. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Auto zazgrzytało, ale silnik nie zaskoczył. Kilka razy nacisnęła pedał gazu i spróbowała raz jeszcze. Samochód tylko warkliwie zarzęził. Zaklęła pod nosem.

- Jakiś problem? - Trevor Rule z dłońmi opartymi na kolanach stał nachylony przy oknie kierowcy. - Wygląda na to, że wyczerpał się akumulator.

Zawzięcie ponawiała próby. Bez rezultatu. Zrezygnowana opadła na siedzenie. Aaron podniósł krzyk, usiłując

wydostać się z fotelika. Sprawy przybierały koszmarny obrót w to sobotnie popołudnie.

- Mogę pomóc?
- Zadzwonię do ojca, żeby po nas przyjechał.
- Mam lepszy pomysł. Odwiozę was do domu.

Poczuła wzdłuż krzyża gryzące igiełki strachu. Nie znała tego człowieka. Skąd miała wiedzieć, czy nie zainscenizował ich spotkania, może sam popsuł samochód, żeby ich zwabić w pułapkę...

Chyba zwariowałaś, Kyla, pomyślała. Ten facet uratował twoje dziecko, a tego na pewno nie wyreżyserował. Mimo to wolała nie wsiadać do samochodu obcego mężczyzny.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Odmowa zabrzmiała odrobinę obcesowo, wbrew jej intencjom. Nie zamierzała jednak stwarzać okazji potencjalnemu porywaczowi. Nakazała sobie spokój, wzięła na ręce Aarona, chwyciła torebkę i zamknęła drzwiczki na kluczyk. Ruszyła w stronę promenady.

- Nie będę pana zatrzymywać, panie Rule - rzuciła przez ramię, słysząc za plecami jego kroki.
- Naprawdę mogę was odwieźć, dokąd tylko zechcesz.
- Nie trzeba.
- Jesteś pewna? Byłoby o wiele...
- Nie, dziękuję!
- To przez tę cholerną opaskę? Wiem, że wyglądam w niej podejrzanie, ale zapewniam cię, że nie musisz się mnie obawiać.
- Nie boję się ciebie. - Kyla stanęła w miejscu, robiąc nagły zwrot.

Ujmujący uśmiech złagodził wyraz napięcia na jego twarzy.

- A powinnaś. Obcym nie należy ufać - roześmiał się miękko. - Ja ci tylko próbuję pomóc. - Postąpił krok bliżej, wpatrując się w nią przenikliwie.

Czuła się idiotycznie. Jak mogła podejrzewać o niecne zamiary kogoś, kto ratując jej dziecko, zniszczył parę butów za czterysta dolarów?

- No dobrze - ustąpiła łagodnie.
- Świetnie. Może ja poniosę Aarona?

Ledwo dostrzegalny cień niechęci przemknął w jej oczach, kiedy podawała malca Trevorowi. Aaron pacnął go w policzek pulchną rączką. Nie obawiał się tego wysokiego, ciemnego, przystojnego mężczyzny z opaską na oku, którego kojący, ciepły uśmiech potrafiłby roztopić górę lodową.

ROZDZIAŁ 3

IN ie spodziewałem się pasażerów dzisiejszego popołudnia - tłumaczył się Trevor, kiedy dotarli do półciężarówki. - Gdybym przewidział, zostawiłbym pikapa, a zabrał zwykłe auto.

Podtrzymując Aarona lewym ramieniem, prawą ręką otworzył drzwiczki. Kiedy tylko Kyla usadowiła się w szoferce, podał matce synka.

Przypadkowo otarł się ramieniem o jej piersi. Oboje usiłowali to zbagatelizować. Trevor pospiesznie zatrzasnął drzwiczki. Wiedziała jednak, że to pozornie przelotne zdarzenie nie minie bez echa.

- Gorąco tutaj - stwierdził, siadając za kierownicą i przekręcając kluczyk w stacyjce. - Nagrzało się od słońca.

- Przynajmniej szybciej wyschniemy. - Szkoda, że w porę nie ugryzła się w język! Trevor obrzucił jej mokre, oblepiające ciało ubranie przeciągłym spojrzeniem. Na szczęście Aaron służył jej za tarczę.

Zapadło niezręczne milczenie. Trevor długo lawirował między samochodami, póki nie wydostali się poza parking. Posłał jej przepraszający uśmiech za tę zwłokę. Odwdzięczyła mu się niewyraźnym, wymuszonym gryma-

sem, który, a przynajmniej miała taką nadzieję, nie wypadł zbyt cierpko. Zastanawiała się, od czego by tu zacząć rozmowę. Dlaczego on wpatruje się w nią w taki sposób? Może powinna poprosić go o włączenie klimatyzacji? W szoferce panował niemiłosierny upał. A może to wewnętrzny żar tak ją rozgrzewa?

- Mam pytanie - odezwał się miękko.

Serce zamarło jej na chwilę. No i stało się.

Co zrobimy z dzieckiem?

Zabezpieczyłaś się?

U ciebie czy u mnie?

Dziesiątki możliwości kołatały jej w głowie, jedna bardziej przerażająca od drugiej. Do tej pory starał się być miły. Powinna przewidzieć, że na tym się nie skończy. Żaden mężczyzna nie robi kobiecie przysługi bezinteresownie, nie oczekując niczego w zamian.

- Tak? - spytała spłoszona, uparcie wpatrując się w sterczący kosmyk na czubku głowy Aarona.

- Którędy mam jechać?

Kyla nie zdołała opanować nerwowego śmieszku.

- Och, przepraszam. Skręć w prawo.

Uśmiechnął się rozbrajająco i obrał kierunek, który mu wskazała. Pewnie ma mnie za głupią gęś, pomyślała. On jest po prostu porządnym człowiekiem, zatroszczył się o biedną wdowę z dzieckiem. Nic ponadto. O wiele bardziej pasowałby do tej roli, gdyby nie był taki przystojny i taki... męski. I te mocne, opalone dłonie. Kiedy sięgał do gałki radia, zauważyła krótkie, starannie przycięte paznokcie. Przeniósł płynnym ruchem stopę z pedału gazu na hamulec. Kyla odnotowała sprężysty skurcz mięśni prawego uda.

- Gorąco?

- Słucham?
- Czy jest ci gorąco?

Przyłapana na gorącym uczynku, zawstydzona Kyla zarumieniła się po korzonki włosów. Trevor, nie czyniąc na ten temat żadnych uwag, ustawił termostat i kabinę wypełnił cichy szmer klimatyzatora.

Clif i Meg Powersowie mieszkali wciąż w tym samym domu, w którym urodziła się ich córka. Wówczas ta dzielnica należała do eleganckiej części miasta, z czasem przemysłowa ekspansja i moda na osiedlanie się poza Dallas zmieniły okolicę nie do poznania.

Domy, niegdyś przyjemne i zadbane, należały dziś do właścicieli, którym obce było poczucie dumy ze starannie utrzymanej posesji. Budynki przypominały raczej rozczochrane, podstarzałe babska, które w swej drodze donikąd przystanęły przy wytwornej onegdaj ulicy.

Wyjątek stanowiła willa Powersów. Obszerną, frontową werandę okalała biała, pieczołowicie odmalowana balustrada z misternie kutej stali. Starannie przycięte krzewy sąsiadowały z równo wytyczonymi rabatami kwiatów. Ogrodowy zraszacz energicznie rozpylał migotliwe strumienie na przystrzyżony trawnik, rozciągający się po obu stronach ścieżki prowadzącej od furtki aż do samej werandy; krople iskrzyły się w promieniach zachodzącego słońca.

- To tutaj. - Kyla wskazała dom Trevorowi.

Znał to miejsce. Przejeżdżał tędy tyle razy w ciągu ostatnich miesięcy, że wiedział nawet, w które dni zabierane są śmieci.

Kyla jęknęła w duchu na widok znajomego samochodu zaparkowanego na podjeździe. Babs. Nie dość, że czekała ją niełatwa rozmowa z rodzicami, którym będzie zmuszona

wyjaśnić tę osobliwą sytuację, to jeszcze napatoczyła się Babs ze swoją wybujałą wyobraźnią. Co powinna zrobić? Bez ceregieli wyskoczyć z pikapa, podziękować i zniknąć? Może by wtedy odjechał, nim ktokolwiek go spostrzeże?

Niestety.

W momencie gdy Trevor parkował przy krawężniku, na ganku pojawił się ojciec. Idąc zakręcić kurek zraszacza, przyglądał się, zaintrygowany, stojącej przed domem półciężarówce. Jego zdziwienie wzrosło, kiedy spostrzegł w szoferce Kylę i Aarona.

- To mój ojciec - wyjaśniła, podczas gdy Clif spokojnym krokiem dochodził do furtki. Z bliżej nie określonych powodów czuła się skrępowana i zawstydzona.

Trevor pchnął drzwiczki i zeskoczył na jezdnię.

- Witam! - zawołał przyjacielskim tonem. - Przywiozłem panu zgubę.

Kyla zdążyła otworzyć drzwiczki od swojej strony, nim Trevor okrążył auto, by jej pomóc.

- Daj mi Aarona. Ostrożnie, uważaj na wysoki stopień.

Z ociąganiem pozwoliła mu wziąć syna.

Ujął malca pod pupę tak zręcznie, jak gdyby robił to dziesiątki razy, drugą ręką podtrzymał wysiadającą Kylę za łokieć i tak wyszli na spotkanie osłupiałego Clifa.

- Cześć, tato.

- Gdzie twój samochód? Czy coś się stało?

- Nie, nic się nie stało, tyle że nie obeszło się bez drobnych problemów - odparła zgnębiona. Zastanawiała się, w jaki sposób ma odebrać syna z rąk Trevora, nie stwarzając przy tym następnej, niezręcznej sytuacji. Nie chciała ryzykować kolejnego dotknięcia, choć wszelkie podejrzenia wobec tak nieszkodliwego człowieka wydawały się zgoła absurdalne.

- Co się tu dzieje? Clif? Kyla?

Zaniepokojony głos należał do Meg Powers, która otwierała siatkowe drzwi prowadzące na werandę. Tuż za nią stała Babs. Kyla unikała żądnego sensacji wzroku przyjaciółki, nawet nie próbując dociekać, jakie to niegodziwe domysły roją się w jej głowie.

Meg puściła się truchtem po wyłożonej płytami ścieżce, obrzucając spojrzeniem to Kylę, to wysokiego bruneta, trzymającego na ręku jej wnuka.

- Mamo, tato, to jest Trevor Rule.

Trevor skłonił się uprzejmie i uścisnął Clifowi dłoń.

- A to moja przyjaciółka i wspólniczka w interesach, Babs Logan.

- Dzień dobry, pani Logan.

Oczy Babs omiatały sylwetkę Trevora z wyrazem niekłamanej aprobaty.

- Gdzieś ty go znalazła? - Takt nie był najmocniejszą stroną Babs. Paplała, co jej ślina na język przyniosła, bezceremonialnie stawiając kwestię, przed której rozstrzygnięciem powstrzymywało Powersów dobre wychowanie.

- To raczej on znalazł nas - uściśliła Kyla.

- A gdzie twój samochód? - indagował Clif.

- Na parkingu, przy centrum handlowym.

- Zdaje się, że siadł akumulator - wtrącił Trevor.

- Pan Rule zaoferował swoją pomoc.

- Jaki rycerski - wdzięczyła się Babs, nie odrywając od Trevora natrętnie taksującego spojrzenia. - A co na to pani Rule?

Kyla miała ochotę ją zabić. Ukręci jej łeb przy pierwszej nadarzającej się okazji!

Trevor z uśmiechem postawił Aarona na ziemi. Zazwy-

czaj malec natychmiast puściłby się przed siebie, tym razem jednak zaczął kwilić, zaciskając kurczowo pulchne rączki na mokrych nogawkach mężczyzny. Trevor pochylił się, wziął go na ręce i pieszczotliwie poklepał po policzku. Chłopiec przywarł do niego, rozanielony.

- Przepraszam - bąknęła Kyla, speszona tak jawnymi oznakami sympatii. - Zabiorę małego.

- W porządku - zapewnił Trevor, obdarzając ją jednym ze swoich zniewalających uśmiechów. Na moment ich oczy spotkały się i nagle Kyla odniosła wrażenie, że czas stanął w miejscu.

- Mały ma mokre ubranko - powiedziała Meg łagodnym tonem.

- Och, tak. - Kyla otrząsnęła się z chwilowego transu. - Wpadł do fontanny.

Dziadkowie zdenerwowali się nie na żarty. Babs interesowały szczegóły.

- A to się stało, zanim wysiadł akumulator czy potem? - dopytywała się, ubawiona.

- Zanim. Trevor wskoczył do fontanny i wyciągnął Aarona. Nie martw się, mamo, twojemu pupilowi nic nie dolega. Przemókł tylko trochę.

- Wyłowiłeś Aarona z fontanny? - kokietowała Trevora Babs, spoglądając na jego mokre nogawki.

- Taa.

- No, no - mruknęła Babs, znacząco zerkając na Kylę, za co ta miała ochotę natychmiast jej przyłożyć.

Clif i Meg rozpływali się w podziękowaniach, absorbując tym uwagę Trevora. Nikt więc nie słyszał wymiany zdań, jaka odbyła się między przyjaciółkami.

- Ale wystrzałowy!

- Zamknij się.

- Masz mokrą bluzkę.

Kyla zorientowała się poniewczasie, że przez nasiąkniętą wodą bluzkę, gładko oblepiającą jej piersi, prześwituje koronkowa bielizna. Jej spłoszony wzrok natrafił na zielone spojrzenie Trevora, podążające wzdłuż owych koronek. To wszystko działo się w okamgnieniu, Meg zdążyła podzielić się na głos uwagami na temat ruchliwości małych dzieci i zakończyła konkluzją:

- Może zechce pan wstąpić na filiżankę kawy, panie Rule?

- Nie! - Policzki Kyli spłonęły rumieńcem po tym bezwiednym wybuchu, który ujawnił jej skryte rozterki. - To znaczy... chciałam powiedzieć, że i tak zabraliśmy mu zbyt wiele czasu. - Energicznym ruchem sięgnęła po Aarona. - Jeszcze raz dziękuję. Wdzięczna jestem za pomoc i odwiezienie do domu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Trevor delikatnie uszczypnął malca w policzek. - Cześć, smyku. Miło cię było poznać. - Skinął głową, wsiadł do samochodu i, machając na pożegnanie, odjechał.

Kyla z zakłopotaniem zerknęła na rodziców i Babs, którzy mieli takie wyczekujące miny.

- Przebiorę Aarona - rzuciła i pomaszerowała do domu, w asyście złaknionej wyjaśnień trójki.

- Mów! - zażądała Babs, kiedy weszli do holu. Przyjaźń Kyli i Babs narodziła się w szkole podstawowej. Kiedy Babs zmieniała się w podlotka, zmarła jej matka. Ojciec natomiast pracował na dwie zmiany w fabryce w Dallas. Nastoletnia Babs częściej przebywała u Powersów niż we własnym domu. Traktowali ją jak członka rodziny.

- O czym?

- O nim! Co to znaczy?

- Nic. - Kyla skierowała kroki do kuchni pod pretekstem napojenia Aarona sokiem. Usadziła malca w dziecięcym, wysokim krzesełku i otworzyła lodówkę. Rodzice i Babs nie mieli zamiaru się poddać.

- Naprawdę wskoczył do fontanny, żeby ratować Aarona? - dopytywała się zaintrygowana Meg.

- Mamo, daj spokój, mówisz tak, jak gdyby to był jakiś bohaterski czyn. Nie musiał nurkować w wodzie pełnej głodnych rekinów. Tam było stosunkowo płytko, a mały tylko trochę się zmoczył. - Sama zdziwiła się, że tak beztrosko bagatelizuje wydarzenie. Jeszcze godzinę temu nie wątpiła, że gdyby nie odwaga Trevora, byłoby po Aaronie.

- A co z samochodem? - nie ustępował ojciec. - Jak się dowiedział o samochodzie?

- No cóż, hm, odprowadził mnie na parking.

- Sam ci to zaproponował? - dociekała Babs.

- Tak - odparła Kyla stanowczo.

- Hm.

- Przestań z tym hm! I przestańcie przyglądać mi się tak, jakbym ukrywała w zanadrzu jakąś sensację. To zwykły, przypadkowy przechodzień, na tyle uprzejmy, że zaproponował nam pomoc. Nic ponadto. Naprawdę, zachowujecie się jak wygłodniałe kocury polujące na ostatnią mysz w mieście.

- Nie musiał cię odwozić - zauważyła potulnie Meg.

- Widać odebrał staranne wychowanie.

- On utyka, ciekawe, co mu się przydarzyło - zadumał się Clif.

- To nie nasza sprawa. Nie zobaczymy go więcej. Tato, lepiej zadzwoń do warsztatu, niech ściągną mój wóz. Pomóc ci z kolacją, mamo?

Rozpoznali ten nowy, szczególny ton w jej głosie, któ-

rym dawała im od kilku miesięcy do zrozumienia, że żałoba się skończyła i nie muszą dłużej obchodzić się z nią jak z jajkiem. Ten ton oznaczał, iż należy się wycofać.

- Nie, kochanie, dziękuję. Zrobię szybko kanapki. Idź na górę i zajmij się Aaronem. Zostaniesz na kolacji, Babs?

- Dziś nie mogę. Mam randkę.

Kyla zaniosła chłopca do sypialni, Babs szła za nią krok w krok.

- Podobno masz randkę?

- Zdążę.

- Znam go czy to ktoś całkiem nowy?

- Ten numer nie przejdzie. - Babs zajęła bujany fotel i skrzyżowała nogi.

- Jaki numer? - rzuciła niedbale Kyla, ściągając z Aarona spodenki.

- Migasz się od rozmowy o swoim wysokim przystojniaku.

- Nie jest mój.

- Myślisz, że jest żonaty?

- Skąd mam to wiedzieć? A poza tym, to bez różnicy.

- Chcesz powiedzieć, że zadałabyś się z żonatym facetem?

- Babs, na miłość boską! Ja się z nikim nie zadałam. Po prostu podwiózł mnie do domu. Co nowego w kwiaciarni?

- Nie wykręcisz się sianem. Myślę, że on nie jest żonaty - drążyła uparcie Babs. - Nie miał obrączki.

- To o niczym nie świadczy.

- Wiem, ale nie wyglądał na żonatego.

- Nie przyglądałam się mu tak dokładnie.

- Ale ja tak. Wszystkim sześciu stopom i iluś tam calom. Co myślisz o tej opasce na oku?

- W ogóle o niej nie myślę.

- Uważam, że ten facet jest niesłychanie seksowny. - Babs aż zadrżała, wypowiadając te słowa. - Z tymi buńczucznie podkręconymi wąsami wygląda jak rozbójnik albo jakiś pirat.

- Niesłychanie? Buńczucznie? Oj, chyba za dużo romansów się naczytałaś.

- I to jedyne niebieskie oko.

- Zielone, a nie niebieskie - wyrwało się Kyli i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że wydała na siebie wyrok. Mogła mieć tylko nadzieję, że owo drobne potknięcie umknęło uwagi dociekliwej przyjaciółki.

Babs przybrała anielski wyraz twarzy, lecz w jej oczach rozjarzyły się szatańskie iskierki.

- Podobno nie przyglądałaś mu się dokładnie - zadrwiła.

- Pójdziesz sobie wreszcie? - Kyla wzięła na ręce rozebranego malca. - Chcę wykąpać Aarona, dać mu jeść i położyć go spać. A ty masz randkę. I… - odetchnęła głęboko - i nie chcę dłużej ani rozmawiać, ani nawet myśleć o panu Rule.

- Założę się, że on rozmyśla o tobie - nie dawała za wygraną Babs, nie zrażona złym humorem Kyli.

- Nie bądź śmieszna! Z jakiegoż to niby powodu miałby o mnie rozmyślać?

- Wyraźnie ociągał się z odejściem. Gdyby nie to, że zachowałaś się, jakby ci podsypano pieprzu pod ogon, na pewno by przyjął zaproszenie twojej mamy na kawę. Miałby świetny pretekst, żeby zostać. Widziałam, jak przyglądał się twojej mokrej bluzce.

- Nieprawda! - obruszyła się Kyla.

- Prawda, prawda! A teraz już mnie nie ma. Pa.

Babs zbiegła ze schodów, zanim Kyla zdążyła wyrazić

swoje oburzenie na te niecne insynuacje. Podczas obiadu rozegrała się kolejna runda przesłuchania na temat mężczyzny, który uratował - Meg wyraźnie postanowiła nadać temu wyczynowi taką rangę - Kylę i Aarona. Co prawda, pytania rodziców nie brzmiały tak obcesowo jak indagacje Babs, lecz w zawoalowany sposób zmierzały w tym samym kierunku.

W końcu miała tego dość.

- Szkoda, że nie wezwałam taksówki - stwierdziła, wstając od stołu. - Nie przypuszczałam, że jeden mężczyzna może narobić tyle zamieszania. Dobranoc.

Zaniosła Aarona na górę i ułożyła w łóżeczku. Potem, już u siebie w sypialni, nadaremnie próbowała skupić się nad lekturą. Myślami krążyła wokół Trevora Rule'a.

- Nic dziwnego, skoro przez cały wieczór o nikim innym się nie mówiło - powiedziała głośno, zatrzaskując książkę. - Wcale nie patrzył na moją mokrą bluzkę, niech sobie Babs mówi, co chce. Wcale nie patrzył - mruknęła, zdejmując bieliznę.

Lecz niepewność jeszcze długo nie pozwalała jej zmrużyć oka.

- Nie do wiary! - Babs, siedząca w niedbałej pozie w bujanym fotelu na werandzie, zerwała się niespodziewanie, wprawiając mebel w gwałtowne kołysanie.

- Co się stało? - spytała Kyla, ziewając. Rozkoszowała się błogim nieróbstwem w to słoneczne, niedzielne popołudnie, wyciągnięta leniwie na bujanej ławeczce.

- To on!

Kyla otworzyła jedno oko, by zobaczyć, kogo Babs ma na myśli, i aż podskoczyła z wrażenia. Naprzeciwko domu parkował samochód Trevora Rule'a.

- A co, nie mówiłam? - triumfowała Babs. - Przyjechał.

- Jeśli piśniesz chociaż słówko, zamorduję cię.

Posłała zbliżającemu się ścieżką Trevorowi blady uśmiech.

- Cześć.

- Cześć - zawtórowała.

Trevor zerknął przelotnie na Babs, po czym jego wzrok spoczął na Kyli. Zawstydzona, w szortach i z gołymi stopami, rozważała możliwość sięgnięcia po sandały. Uznała jednak, że tym gestem mogłaby zwrócić uwagę na swój skąpy strój.

- Martwiłem się o twój samochód, ale widzę, że go odzyskałaś. - Wskazał niebieskie kombi na podjeździe.

- Tak. Tata zadzwonił do swojego warsztatu. Pojechali na parking przy centrum handlowym i naładowali akumulator. Chyba będę musiała go jednak wymienić.

- To niezły pomysł. Pojechałaś z nimi?

- Nie.

- To jak znaleźli auto w tym potwornym tłoku?

Kyla roześmiała się.

- Tylko jeden ma namalowany na drzwiczkach napis: Różowy Pączek.

Jego serdeczny śmiech odbił się echem o dach werandy.

- Cieszę się, że do ciebie wrócił.

- Ja też.

Trevor, odrobinę nonszalancko, wpakował ręce do tylnych kieszeni opiętych dżinsów. Kyla za wszelką cenę starała się odgonić wspomnienie natrętnych uwag przyjaciółki na temat jego postury. Bez powodzenia. W jej umyśle kłębiło się od nie licujących z godnością damy spekulacji. Babs, zniesmaczona tak jawnym brakiem go-

ścinności ze strony gospodyni, wzięła sprawy w swoje ręce.

- Proszę usiądź, Trevor. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. - Wysunął ręce z kieszeni. - Prawdę powiedziawszy, chciałem zabrać Kylę i Aarona na lody.

Kyla już otwierała usta, by odmówić, lecz Babs ją ubiegła.

- Ach, jaka szkoda, że Aaron śpi! - wykrzyknęła. Po czym szeroko otworzyła błękitne oczy, jak gdyby olśniło ją niespodziewane natchnienie. - Ale ty, kochanie, możesz jechać.

- Nie, ja… - wyjąkała Kyla, skonsternowana.

- Przeszkodziłem w czymś?-Trevor zwrócił się z tym pytaniem do Babs.

- Skądże. Nie mieszkam tu, ale mnie nie potrzeba zabawiać. Jesteśmy starymi kumpelkami. Praktycznie jej rodzice mnie wychowywali. Pracowałyśmy dzisiaj nad swoją opalenizną. Tam, na dachu, widzisz? Nad sypialnią Kyli zrobiłyśmy sobie prywatne solarium. Wiesz, co mam na myśli. - Mrugnęła porozumiewawczo.

Wiedział. W tego typu grze półsłówek był mistrzem, zapędziłby w kozi róg nawet tę skłonną do flirtów Babs. Bez namysłu mógłby przerzucać się pikantnymi kalamburami na temat opalania się nago. Powstrzymywał go jedynie wymuszony uśmiech Kyli.

- Ale zrobiło się za gorąco - ciągnęła relację Babs. - Więc wzięłyśmy prysznic i odpoczywamy sobie tutaj w cieniu. Szczerze mówiąc, miałam właśnie uciąć sobie drzemkę. Nie ma żadnego powodu, żeby Kyla nie mogła z tobą jechać.

- A ty?

- Nie,ja…

- Kyla, kto... a, pan Rule. - Clif pchnął siatkowe drzwi domu. Miał na sobie jedynie podkoszulek wyłożony na spodnie.

- Dzień dobry panu. - Trevor uprzejmie uścisnął mu dłoń. - Mam nadzieję, że nie przerwałem panu drzemki.

- Nie, ależ skąd - skłamał Clif. - Nie uporałem się jeszcze z papierzyskami. Przyniosę je tu, na werandę.

- Trevor przyjechał zabrać Kylę na lody. Prawda, że to miło z jego strony?

- Bardzo miło - potwierdził Clif.

- Ale ja chyba nie pojadę, Aaron...

- Nic mu nie będzie. Smacznie śpi, twoja matka też. Przypilnuję go. Jedź, powinnaś się czasem trochę rozerwać.

Kyla zapomniała, kiedy po raz ostatni pozwolono jej skończyć jakieś zdanie. Najchętniej udusiłaby całą trójkę gołymi rękami: ojca, Babs, a przede wszystkim Trevora Rule'a.

- W porządku, idę się przebrać.

- Nie musisz się wcale przebierać - dyrygowała Babs tonem sierżanta prowadzącego musztrę.

Odgadła w lot zamiary przyjaciółki: Kyla pójdzie na górę, obudzi Aarona i znajdzie w ten sposób dogodną wymówkę, żeby nie pojechać. Nie mogła dopuścić, by przyjaciółce udała się taka przebiegła sztuczka. Kyla była wdową, to prawda, ale poza tym młodą i pełną życia kobietą. Trevor Rule zaś był pierwszym mężczyzną, którego nie zraziła oziębłość tej zatwardziałej mniszki.

- Jak myślisz, Trevor, powinna się przebierać? - spytała przymilnie. - Nie będziecie włóczyć się przecież po eleganckich lokalach, więc po co ma się specjalnie stroić?

- Istotnie. Kyla?

W tonie, jakim się do niej zwracał, było tyle nieodpartej wytworności, że nie znajdowała wystarczająco uprzejmych słów, by sprzeciwić się jego prośbie.

- Niech będzie - skapitulowała, nerwowo skubiąc rąbek szortów. Wróciła na ławeczkę, by założyć sandały. Rzuciwszy Babs jadowite spojrzenie, wstała. - Jestem gotowa.

Trevor wziął Kylę pod łokieć i zeszli z werandy.

- Nie śpiesz się! - wołał za nimi Clif. - Dopilnujemy małego.

- Bawcie się dobrze. - Babs machała im wesoło na pożegnanie.

Kyla, upokorzona, wślizgnęła się na przednie siedzenie auta. Miała nieprzepartą chęć schować się ze wstydu w mysią dziurę. Za rogiem Trevor nagle zatrzymał samochód. Przełączył automatyczny bieg na „parkowanie" i położył ramię na oparciu fotela.

- Słuchaj, wiem, że czujesz się zakłopotana, ale spróbuj się odprężyć, dobrze? - W kącikach ust błąkał się uśmieszek.

Pochyliła głowę i wydobyła z siebie krótkie, zdawkowe parsknięcie.

- Rzeczywiście, wprawili mnie w zakłopotanie.

- Wiem, i przykro mi z tego powodu.

- To nie twoja wina. Zachowywali się tak, jak gdyby chcieli przywiązać cię łańcuchem, żebyś przypadkiem nie uciekł.

- Wnoszę z tego, że nieczęsto umawiałaś się na randki od śmierci męża.

- Z nikim się nie umawiałam. I wcale nie mam zamiaru tego robić.

Trevor przyjął tę wiadomość z mieszanymi uczuciami.

Z jednej strony, cieszył się, że w jej życiu nie było innego mężczyzny. Z drugiej, Kyla narzucała twarde warunki, od których nie miała zamiaru odstąpić. No cóż, pomyślał, przez jeden dzień i tak dość daleko zaszedł. Kyla natomiast rozważała, czy nie posunęła się za daleko w swojej oschłości. Trevor przerwał jej układanie usprawiedliwiającej formułki.

- Nawet na lody? - Spontaniczny śmiech Kyli uznał za przyzwolenie i włączył silnik. - Z lodami jest tak jak z piciem.

- W jakim sensie?

- Żadna przyjemność jeść lody samemu.

Trevor poruszał się po ulicach Chandler bez najmniejszych trudności.

- Kupiłem ostatnio ten skrawek ziemi, tam, na tyłach supermarketu. Planuję wybudować na tej działce niewielki kompleks biurowy, z dziedzińcem, fontanną i zielenią. Mam nadzieję, że uda mi się ściągnąć profesjonalistów - lekarzy, prawników, no, wiesz. - Po kilku chwilach wskazał następną parcelę, którą właśnie mijali. - Złożyłem też ofertę na kupno tego kawałka gruntu, ale nie wiem, czy mi się uda. Mają tu postawić magazyny czy hurtownie.

- Ależ tu się pasą krowy!

- Zobaczysz za rok - roześmiał się pogodnie.

Miał najwyraźniej niezłe rozeznanie w sprawach dotyczących rozwoju miasta, dużo lepsze niż ona, choć mieszkała tu od urodzenia. Okaże się jeszcze, że to Trevor jest sprawcą i motorem tych wszystkich zmian, pomyślała.

- Być może powinnyśmy zastanowić się z Babs, czy nie przenieść kwiaciarni do nowego lokalu.

- Nie, pasuje tam, gdzie jest.

- A skąd wiesz, gdzie jest?

- Przejeżdżałem dziś tamtędy - odparł swobodnym tonem po krótkiej pauzie. - Ciekaw byłem, jak wygląda sklep o tak kuszącej nazwie. Od jak dawna go prowadzicie?

- Niecały rok. Zaczęłam sześć miesięcy po śmierci Richarda... mojego męża. Kiedy Babs i ja dorastałyśmy, bardzo nam się podobał musical „My Fair Lady". Marzyłyśmy wtedy, że w przyszłości będziemy pracować w kwiaciarni jak Ebza Doolittle. Kiedy znalazłam się na bruku, Babs zaczęła mi wiercić dziurę w brzuchu, a rodzice uznali, że kwiaciarnia to doskonały interes. Musiałam się czymś zająć i zadbać o przyszłość Aarona. Wygrzebałyśmy więc wszystkie oszczędności i nim się spostrzegłam, stałam się współwłaścicielką kwiaciarni.

- I jak wam idzie?

- Jak dotychczas, znakomicie. Ten drugi bukieciarz w mieście nie ma nowoczesnych pomysłów i ani krzty fantazji. Niebawem zostanie w tyle.

Na wargach Kyli zaigrał figlarny uśmieszek, a Trevor oddałby wszystko, żeby móc go scałować. Każda fałdka skóry, każde najmniejsze wgłębienie ukryte pod szortami, z których wyłaniały się smukłe, pachnące kremem, opalone uda - stawiały jego rozbudzoną wyobraźnię w stan napiętej gotowości.

Zjechał z głównej ulicy na wyboistą, boczną drogę.

- Wiesz o jakiejś lodziarni, której nie znam? - spytała Kyla.

Uśmiechnął się szelmowsko i puścił do niej oko.

- Może mam zamiar wywieźć cię do lasu. - Jej uśmiech zgasł, co przyprawiło go o kolejny napad wesołości. Przechylił się i klepnął ją w kolano. - Odpręż się. Buduję tu dom, na własne ryzyko. Cieśle mieli przyjść dziś

popracować za dodatkową dniówkę. Chcę sprawdzić, czy nie wyrzucam pieniędzy w błoto. Nie masz nic przeciwko temu?

Nie miała nic przeciwko temu. Ale odprężyć się? Wykluczone. Nie wtedy, gdy odcisk jego dłoni palił jej udo.

ROZDZIAŁ 4

W yboista droga wiodła poprzez mieszany las, w którym obok sosen i dębów rosły bujne krzaki leszczyny. Na jej końcu, spośród drzew, wyrastała konstrukcja przyszłego domu. Już w tym stadium budowy wyróżniała się nowoczesnością i rozmachem. Las opadał łagodnie ku płytkiej zatoczce.

- Jak tu pięknie, Trevor! - krzyknęła z zachwytem Kyla, niepomna, z jaką łatwością przyszło jej wymówić to imię.

Fakt ten nie umknął jednak uwagi Trevora. Zatrzymał samochód, roześmiany.

- Podoba ci się?
- Przepięknie!
- Chodź, oprowadzę cię.
- Chyba nie powinnam wysiadać - zawahała się, zdjęta nagłym wstydem za swój skąpy strój. Robotnicy na ich widok przerwali pracę.
- Ja tu jestem szefem. Jak mówię, że masz wysiąść, to po prostu zrób to.

Łagodny, ciepły wiaterek pogłaskał rozkosznie jej gołe nogi. Trevor prowadził ją po nierównym gruncie, między stertami materiałów budowlanych, podtrzymując jedną rę-

ką za łokieć, drugą delikataie osłaniając jej plecy. Jedna sroga mina wystarczyła, by praca zawrzała na nowo: zastukały młoty, zazgrzytały piły, zawarczały świdry.

- Uważaj na gwoździe - ostrzegł. Kiedy pokonali wszystkie przeszkody, cofnął, acz z żalem, dłonie. - Tu jest miejsce na drzwi wejściowe. Myślałem o witrażowych oknach.

- Cudownie.

- Dalej będzie hol z wysokim stropem i świetlikiem.

- Uwielbiam świetliki.

- Naprawdę? - udał zdziwienie, choć wiedział o tym z jej listu.

...i weszłam. To był dom, o jakim zawsze marzyłam. Nowoczesny. Otoczony drzewami i ze świetlikiem w suficie.

- Widziałam kiedyś taki dom i bardzo mi się podobał.

- Uważaj na stopnie. - Znowu podał jej dłoń i poprowadził w głąb domu. - To przyszły salon z kominkiem. Jadalnia tam, a do kuchni będzie się szło tędy.

Kyla próbowała wyobrazić sobie przyszłe wnętrze na podstawie szkicu, jaki rysował w powietrzu zamaszystymi gestami.

- Idziemy dalej?

- Oczywiście - zgodziła się pospiesznie, wdzięczna za nadarzającą się okazję, by uwolnić dłoń z jego uścisku.

Jednakże radość okazała się przedwczesna, bowiem wielokrotnie jeszcze Trevor chwytał ją mocno pod rękę podczas niemal dwugodzinnej wędrówki po labiryncie fundamentów. - Tu będzie główna sypialnia. Niebawem, kiedy staną ściany, nie da się chodzić tak swobodnie. Trzeba się będzie poruszać korytarzami.

- Aż szkoda zamykać tę przestrzeń ścianami.

Pokoje byty tak przestronne, ie miało się wrażenie przebywania na otwartej przestrzeni.

- Dokładnie tak samo pomyślałem. W każdym korytarzu jedna ze ścian będzie przeszklona, od podłogi do sufitu. Przestrzeń nie będzie więc sprawiała wrażenia zamkniętej.

Świetliste słoneczne blaski tańczyły figlarnie po twarzy Trevora, znacząc czarne pasma włosów migotliwymi cętkami. Ciemne wąsy ocieniały górną wargę o zmysłowym, odrobinę nadąsanym zarysie. Kyla uwolniła rękę z pozornie niewinnego uścisku jego dłoni. Trevor Rule, ze swoją uwodzicielską aparycją, bez wątpienia był donżuanem. Na pewno uganiał się za kobietami jak diabeł za dobrą duszą. Im wcześniej ten kobieciarz dowie się, że ona nie należy do łatwych zdobyczy, tym lepiej.

- A co będzie tam? - spytała, powiększając dzielącą ich odległość.

- Drugi kominek.

- Żartujesz!

- Nie, dlaczego?

Kominek w sypialni od zawsze jej się marzył. Coś powstrzymało ją jednak przed wyjawieniem owego marzenia na głos.

- Och, nic takiego. Myślę, że cudownie jest mieć kominek w sypialni.

- I romantycznie.

Uciekła spojrzeniem w bok.

- Panie Rule? - usłyszeli głos cieśli, którego obecności nie zauważyli wcześniej. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale skoro pan tu jest, chciałem o coś zapytać. Chodzi o kąt śniadaniowy.

- Oczywiście. Zaraz tam przyjdziemy. - Wrócili do części domu przeznaczonej na aneks kuchenny.

- Mówił pan, że jedna z tych ścian tu, w jadalni, ma być przeszklona. Ale która?

Krzyżując ręce na piersi, Trevor obrócił się na pięcie.

- Zdaje się, że masz intuicję w takich sprawach - zwrócił się do Kyli. - Którą, twoim zdaniem, należałoby przeszklić?

- Nie znam się na budownictwie.

- Zasięgam jedynie twojej opinii.

- No cóż - zawahała się. - Ta ściana jest południowa, tak? A ta wschodnia?

- Zgadza się - potwierdził stolarz.

Przez chwilę rozważała w myślach rozkład pomieszczeń.

- A dlaczego nie przeszklić obu ścian? - zapaliła się, widząc ich zdumienie. - Mogłyby stykać się narożnikiem. I można by je przykryć spadzistym, szklanym dachem. Dawałoby to złudzenie przebywania pod gołym niebem, wśród drzew.

Cieśla skrobał się w głowę, krzywiąc się sceptycznie.

Trevor podchwycił pomysł; klepnął rzemieślnika po plecach.

- Skonsultuj to jutro z architektem i daj mi znać. To wspaniała propozycja. - Odwrócił się do Kyli. - Dziękuję.

Czuła, jak roztapia się w cieple tych pochwał.

- Nie sądzę, by architekt był szczęśliwy, że psuję mu koncepcję.

- To ja mam być zadowolony, nie architekt.

Wyszli poza obręb fundamentów i skierowali się do samochodu.

- Ten dom będzie niezwykły - przyznała Kyla szczerze. - Ciekawe, kto w nim zamieszka.

- Kto wie? Może ty i Aaron?

Zaskoczona tym zagadkowym wyznaniem, potknęła się o porzucony worek cementu. Silne ramię pewnym ruchem opasało jej talię.

- Ostrożnie! Nic ci się nie stało?

- Nic mi nie jest - wyjąkała, uwalniając się z muskularnych ramion.

- Na pewno?

- Jestem trochę niezdarna, i tyle.

Pochyliła się, by zapiąć pasek od sandałka. Usłyszała za plecami przeciągły gwizd. Wyprostowała się gwałtownie, skonfundowana. Robotnicy, z udawaną gorliwością, oddawali się pracy. Zerknęła na Trevora. Posłał jej niewinny uśmieszek i wzruszył ramionami.

- Mają po prostu niezły gust. Gotowa?

Ze wszech miar gotowa była opuścić to miejsce natychmiast. Zgodziła się na tę przejażdżkę tylko pod wpływem nacisku Babs. Na krótką przejażdżkę.

- Odwieź mnie do domu - poprosiła, kiedy wjechali w wyboistą drogę. - Aaron wkrótce się obudzi.

- Obiecałem ci lody.

- To nieistotne.

- Dla mnie tak. A jakie są twoje ulubione?

- Ulubione co?

- Lody. Ja lubię najbardziej czekoladowe z migdałami.

- Ja też!

- Poważnie?

W lodziarni kłębił się tłum, jak to w niedzielne, letnie popołudnie. Trevor usadowił Kylę na wysokim stołku koło okna, a sam zajął miejsce w kolejce. Prosiła o pojedynczą porcję, kupił podwójną.

- Nie zjem tyle - broniła się, zlizując krem ze słodkich, zimnych, kalorycznych lodów.

- Daj z siebie wszystko! Może wyjdziemy na taras? Jest ci zimno.

Kyla dostała gęskiej skórki w chłodnych podmuchach klimatyzatora włączonego na cały regulator. Nie mogła się zdecydować, czy ma zostać pod wrażeniem niezaprzeczalnych dowodów troskliwości, czy obruszyć się na zbyt daleko posuniętą spostrzegawczość.

Wychodząc, minęli pięcioosobową rodzinę.

- Tato, a co ten pan ma na oku? - spytała ciekawie sześcioletnia dziewczynka.

Zawstydzeni rodzice przynaglili dzieci, szeptem beształając małą.

- Przykro mi - mruknął Trevor.

Kyla, zmieszana, nie wiedziała, co powiedzieć. Nie winiła za tę oczywistą gafę dziewczynki, która z czystej dziecięcej ciekawości bezwiednie wykazała się okrucieństwem.

- Krępuje cię pokazywanie się ze mną? - głos Trevora zabrzmiał odrobinę chropawo.

- Ależ skąd! - zapewniła.

- Wiem, że niektórych ta opaska odstręcza.

- Innych natomiast przyciąga. Babs twierdzi, że nadaje ci wygląd rozbójnika - wyjaśniła, widząc jego pytające spojrzenie i usiłując obrócić w żart niezręczną sytuację.

- Rozbójnika, co? - uśmiechnął się rozbawiony, lecz zaraz ten uśmiech zgasł. - To znaczy kogoś, kto straszy dzieci?

- Aaron nie był wystraszony - powiedziała cicho.

- No właśnie, prawda, że nie był? - Wyraz napięcia nieco zelżał. - Przykro mi, jeśli ta mała wprawiła cię w zakłopotanie.

- Mnie nie, ale przypuszczam, że takie sytuacje są dla ciebie krępujące.

- Przywykłem do tego. - Polizał lody, a potem przejechał językiem po górnej wardze tuż poniżej linii wąsów. Kyla przyłapała się na mimowolnej myśli: są jedwabiste czy szorstkie? - Niekiedy zapominam o tym, jak widzą mnie inni. Dzisiaj też. Założyłem najpierw szorty, potem zmieniłem je na długie spodnie.

- Dlaczego?

- Chyba nie wiesz, jak wygląda prawdziwa, porządna blizna. Nie chciałem wydać ci się odpychający.

- Nie bądź śmieszny! Przy mnie możesz nosić szorty bez skrępowania.

- Będę o tym pamiętał - odparł, zaglądając jej głęboko w oczy, a w jego głosie zadrgała nuta wzruszenia.

Do diabła! Czyżby odebrał jej słowa jako zachętę do następnych spotkań? Postanowiła zmienić temat.

- Miałeś wypadek?

- Coś w tym rodzaju.

Kolejny błąd. Rozmowa o przyczynach kalectwa wyraźnie nie sprawiała mu przyjemności. Kyla gorączkowo przebiegała w myśli listę ewentualnych wspólnych tematów, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Nie znali się, nie mieli ze sobą nic wspólnego prócz tej pół godziny spędzonej razem na promenadzie.

Zasiedli na zacienionej ławeczce w kącie tarasu i zajęli się jedzeniem deseru.

- Lepiej? - spytał po dłuższej chwili, skinieniem głowy wskazując jej gołe ramiona. - Nie masz już gęsiej skórki.

- O wiele lepiej. - Jeśli teraz palnę jakąś bzdurę, pomyślała, to dlatego, że czuję niebezpieczną bliskość uda opiętego sztywnym drelichem.

- Masz dziś inne buty - zauważyła, zatapiając zęby w słodkiej masie.

Zerknął na swoje stopy, obute w parę nowych, kosztownych mokasynów z jaszczurczej skóry.

- Wygląda na to, że od tej pory nie obędę się bez wysokich kowbojskich butów.

Para młodych zakochanych przystanęła w cieniu tarasu, szepcząc sobie czułe słówka. On obejmował ją w pasie, ona zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie pochodzisz z tej części kraju - zagadnęła Kyla, siląc się na ton zwyczajnej konwersacji.

Długo nie odpowiadał, podniosła więc wzrok i ujrzała, że Trevor wpatruje się w kochanków z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Poczuł na sobie spojrzenie Kyli i gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

- Co? Ach tak. Nie, pochodzę z Filadelfii. Szkoły kończyłem na północnym wschodzie.

Młody mężczyzna pieścił ramię ukochanej koniuszkami palców.

- Dlatego masz inny akcent - ciągnęła Kyla.

Mężczyzna delikatnie musnął wargami usta kobiety.

- Chyba tak.

Kobieta odchyliła głowę do tyłu i szepnęła mężczyźnie do ucha coś, co go rozbawiło.

- Masz rodzinę?

- Rodzinę? - powtórzył głucho Trevor. - Ach, tak. Ojca. Jest prawnikiem.

Usta mężczyzny lubieżnie sunęły po szyi jego wybranki.

- Tylko ojca?

Kobieta głaszcząc mężczyznę czule, wydała cichy, rozmarzony jęk.

Trevor chrząknął i poruszył się niespokojnie.

- Tylko. Moja matka umarła wiele lat temu. Nie mam rodzeństwa.

Kochankowie przywarli do siebie w długim, namiętnym pocałunku.

- Obliż to!

Oczy Kyli napotkały roziskrzone zielone spojrzenie.

- Co takiego?

- Szybciutko, zanim skąpie.

Patrzyła na niego ogłupiała z na wpół uchylonymi wargami.

- Lody!

- Och! - obudzona z transu spostrzegła, że lepkie, roztopione smużki spływają jej po palcach.

- Skończyłaś? - Trevor zerwał się raptownie z wyrazem bólu na twarzy.

Kyla rozgrzebała swoją porcję, czyniąc z niej rozmiękłą, kleistą miazgę.

- Tak, skończyłam.

Oddałaby wiele za jeden głęboki haust powietrza. Już drugi raz tego popołudnia jej serce tłukło się w piersiach jak szalone, w głowie wirowało, a gardło ściskała paląca suchość.

Trevor odniósł tacę z brudnymi naczyniami. Kyla podniosła się chwiejnie i podążyła za nim.

Wydała mu się nieziemskim zjawiskiem, kiedy stanęła w plamie słońca, z rozjaśnioną od blasku, wijącą się połyskliwie kaskadą włosów, rozchylonymi, czerwonymi ustami i długimi rzęsami przysłaniającymi ciemne, aksamitne oczy.

- Trevor, czy coś się stało?

- Nie - odparł ochryple. - Dumałem właśnie o pew-

nym solarium na dachu. - Gorący, jaskrawy rumieniec oblał jej policzki. Milczała. - To byłby widok wart grzechu.

Z trudem przełknęła ślinę.

- O, tak. Babs ma wspaniałą figurę.

Długo ociągał się, nim wyznał miękko:

- Nie myślałem o Babs.

Kiedy zajeżdżali przed dom, Kyla była pewna, że ze wszystkich okien śledzą ich ciekawskie spojrzenia. Miała ochotę wyskoczyć z auta i rzucić się do ucieczki. Jak na dżentelmena przystało, Trevor okrążył samochód i otworzył przed nią drzwiczki, oferując pomocną dłoń. Udała, że tego gestu nie zauważa. Za nic nie chciała go dotknąć. Unikała wstydliwie spojrzenia Trevora od chwili, gdy ujawnił swoje nieprzystojne zainteresowania kąpielami słonecznymi.

- Dziękuję, Trevor. Miło spędziłam czas.

Wypadło to ckliwie i cukierkowo. Teraz na pewno sobie pójdzie, pomyślała.

- Ja też. - Przestępował z nogi na nogę, jak gdyby nowe buty nagle zaczęły go uwierać. - Do widzenia, Kyla.

- Do widzenia.

Odwracając się, omal nie zderzyła się z matką.

- Och, pan Rule! - wyrzuciła z siebie podniecona Meg. - Jak miło pana znowu widzieć.

Jej zaskocznie było równie fałszywe, jak trzydolarowy banknot. Trevor wiedział o tym, a Kyla wiedziała, że on wie, i najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Jak się pani miewa, pani Powers?

- Przygotowałam kilka kanapek i lemoniadę. Mieliśmy właśnie siadać do kolacji w ogrodzie z tyłu domu. Może się pan do nas przyłączy, panie Rule?

Kuszony tą nęcącą propozycją Trevor zerknął na Kylę. Zmusiła się do uśmiechu. To było widoczne. Lepiej sobie dać spokój, pomyślał. Dosyć jak na jeden dzień. Gdyby nie ta kretyńska wzmianka o solarium... Trudno, cholera, stało się.

- To brzmi wspaniale, ale, niestety, czeka mnie jeszcze fura roboty. - Nienawidził się za te słowa.

- Jaka szkoda. - Pełen oczekiwania uśmiech Meg przygasł. - No cóż, może następnym razem.

- Z przyjemnością. - Obdarzył obie panie pożegnalnym uśmiechem.

Kiedy tylko auto zniknęło za zakrętem, z domu wyskoczyli Babs i ojciec.

- Jak było? - dopytywała się Babs.

- Zobaczycie się jeszcze?

- Obiecał, że zadzwoni?

- Na miłość boską! - wykrzyknęła Kyla zniecierpliwiona. - Dorośnijcie wreszcie i dajcie mi święty spokój! - Biegiem pokonała hol.

Na kogo tak się wściekła? Na Trevora? Na rodziców, którzy jej dobrze życzyli? Na Babs? Czy na siebie samą?

Czuła się odrobinę zawiedziona, że Trevor odrzucił zaproszenie mamy.

- Nie, Aaron, nie dotykaj kwiatów - powtarzała Kyla już chyba po raz setny.

Znajdowali się w pokoiku na tyłach kwiaciarni. Meg, która zazwyczaj opiekowała się małym w godzinach pracy córki, musiała iść do dentysty, a Clif miał coś do załatwienia. Kyla zabrała więc synka ze sobą. Usiłowała uporać się z miesięcznym bilansem. W kwiaciarni od początku obowiązywał ścisły podział zajęć: Babs nie miała głowy do

arytmetyki i wolała obsługiwać klientów, Kyla zajmowała się więc zamówieniami, rachunkami i księgowością.

Zajęta zakładaniem nowej taśmy do maszyny liczącej nie zwróciła uwagi na delikatny brzęk dzwonka przy drzwiach wejściowych.

- Kyla!

- Co tam? - odparła zdawkowo, skupiona na podliczaniu długiego rzędu cyfr.

- Masz klienta.

- Jakiego kii... - Podniosła głowę i urwała na widok Trevora Rule'a, który w tym momencie wynurzył się zza wahadłowych drzwi, oddzielających część sklepową od zaplecza.

- Hej.

Przy nim stała Babs radośnie uśmiechnięta.

- Sądziłam, że tego klienta będziesz wolała obsłużyć osobiście.

Kyla spiorunowała ją wzrokiem, przypominając sobie przebieg rodzinnej kolacji w sobotnie popołudnie.

- Nic nam nie opowiesz? - drążyła Babs z ustami pełnymi pieczonej fasoli, specjalności Meg.

- Nie ma o czym opowiadać. Czy możecie przestać mi się tak badawczo przyglądać? Sądzicie, że nos mi zacznie rosnąć, jak w bajce o Pinokio?

- Mogłabyś skłamać przez czyste niedopatrzenie. Nie sądzisz chyba, że to uczciwie trzymać nas w kompletnej niewiedzy!

Kyla odłożyła widelec, policzyła do dziesięciu i postanowiła położyć temu kres.

- Dobrze więc. Wywiózł mnie do lasu, zdarł ze mnie ubranie i tarzaliśmy się z dziką pasją na tylnym siedzeniu. Ogarnęło nas zwierzęce, wyuzdane, rozpasane pożądanie.

- To nie jest zabawne - stwierdziła Meg sztywno. - Od dawna powtarzamy ci, że jesteś za młoda i za ładna, żeby stronić od ludzi. Zachęcaliśmy cię wielokrotnie, żebyś zaczęła się z kimś spotykać. Pan Rule jest pierwszym mężczyzną, którego nie odrzuciłaś. Martwimy się o ciebie, nic więcej.

- No i o to właśnie chodzi, mamo. Przestańcie się o mnie zamartwiać. Miałam męża, nazywał się Richard Stroud. Zostanie moim mężem aż do mojej śmierci. Zawsze będę kochała tylko Richarda, i dlatego nie mam zamiaru szukać jakichkolwiek romansów.

- Miłość, miłość, miłość! - wybuchnęła zirytowana Babs. - Co to, musisz od razu się zakochiwać, nie możesz po prostu wyjść gdzieś, zabawić się? Nie możesz mieć trochę frajdy z facetem, bez wielkiej miłości?

- Może ty tak, ale ja nie. I dobrze wiesz, moja droga, że mężczyzna nie idzie zabawić się z kobietą, ot tak, dla czystej przyjemności, tylko oczekuje, że ona natychmiast wskoczy mu do łóżka. Przepraszam was - dodała, widząc pobladłe twarze rodziców - ale tak to się w naszych czasach odbywa. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na temat pana Rule'a czy jakiegokolwiek innego mężczyzny. Czy to jasne?

Uszanowali jej wolę i zmienili temat, choć pewna była, że Trevor Rule nie odszedł w zapomnienie. Przez cały poniedziałek rodzice na wyścigi biegali na każdy dzwonek telefonu, a Babs robiła to samo w pracy. Kyla z ulgą odkrywała, że żaden z rozmówców nie był tym, którego spodziewali się usłyszeć.

Z ulgą, ale i z niejakim rozczarowaniem. Mógłby chociaż raz spróbować i dać jej satysfakcję z kategorycznej odmowy.

Po tym wszystkim jego widok w progu zamienił jej mózg w rozmiękłą papkę. Ponura, bezsilna, głucha złość wzbierała w niej jak lawina.

- Jak się masz, Trevor.

Któraś z agencji powinna go wynająć jako modela do reklamowania męskich strojów, pomyślała. Wyglądał zabójczo - szerokie bary doskonale wyglądały w bawełnianej koszuli, wiatr figlarnie potargał mu fryzurę, a czarna opaska przydawała niepokojącego uroku.

Trevor przykucnął, żeby przywitać Aarona.

- Cześć, ancymonku.

Malec zabębnił pulchnymi rączkami po szybie chłodniczej gabloty, w której trzymały kwiaty, i radośnie zagruchał..

- Wracam do roboty. Wybaczcie - rzuciła Babs i zniknęła za wahadłowymi drzwiami.

Kyla, bez jakiegokolwiek racjonalnego powodu, wstała. Trevor, jak przystało na dżentelmena, też wstał. Wtedy ona usiadła. Gdyby zobaczyła podobną scenkę na filmie, bez wątpienia by się roześmiała.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Zerknęła na swoją codzienną sukienkę, co prawda twarzową, ale nie odznaczającą się niczym wyjątkowym. Uświadomiła sobie, że Trevor nie widział jej jeszcze w sukience.

- Dzięki. - Ma mu powiedzieć to samo? Ale to nieprawda. Bo on wyglądał nie tyle ładnie, co… seksownie. A tego nie powiedziałaby mu za żadne skarby.

- Przyjemnie tu pachnie.

- Plusy pracy w kwiaciarni. Tu zawsze przyjemnie pachnie.

- Sądziłem, że to zapach twoich perfum.

Pióro w jej ręku o mało nie pękło w kurczowym uścisku. Uciekła wzrokiem w stronę synka.

- Nie, Aaron, nie! - Porwała się zza biurka i okrążywszy je jednym susem, rzuciła się ratować goździki z rąk wszędobylskiego malca. Odciągnęła go od przygotowanego do ułożenia wiązanki pęku kwiatów i wetknęła w dłonie Aarona pluszowego misia. - Masz, pobaw się Puchatkiem. - Kiedy podniosła się z klęczek, Trevor stał tuż za nią, jak cień. Odsunęła się i zagadnęła ugrzecznionym tonem, jakim zwracała się zazwyczaj do klientów: - Czym mogę służyć?

- Ach, tak. Chciałbym zamówić bukiecik przypinany do sukni.

- A, przypinkę? Rozumiem. - Dla kogo? Jeśli tylko chciał złożyć zamówienie, dlaczego nie zrobił tego w sklepie? O Boże, może wcale nie zamierzał się z nią zobaczyć, może to Babs wepchnęła go na siłę? Te i dziesiątki innych pytań przelatywały jej przez głowę z prędkością huraganu, kiedy siadała za biurkiem. Wyjęła z szuflady odpowiedni formularz i wpisała na górze kartki jego nazwisko. - Co to ma być?

- Nie bardzo wiem. Może mi coś podpowiesz? - Stanął tuż za nią, czuła, jak szorstka nogawka ociera się o sukienkę. Przypomniał jej się francuski film erotyczny, na który Babs zaciągnęła ją kilka miesięcy temu. Zadrżała.

- Na jaką okazję?

- Na półoficjalne przyjęcie.

- Przyjęcie? Więc może...

- ...orchidee? Takie duże, białe, z postrzępionymi lekko płatkami.

Nie zgadniesz, co znalazłam w pudełku z pamiątkami. Przypinkę z orchidei, którą podarowałeś mi na wiosenną

zabawą w Chi Omega. Pamiętasz? To wtedy zakochałam się w Tobie i w orchideach Royal Occasion.

Kyla spojrzała na niego zaskoczona.

- Royal Occasion?

- Słucham?

- Opisałeś mi odmianę noszącą nazwę Royal Occasion. Są bardzo efektowne. Mają duże białe płatki i złociste środki.

- Tak, to ma być dokładnie to.

- Muszę je sprowadzić z Dallas. Na kiedy je potrzebujesz?

- Na sobotni wieczór.

- Załatwione - skwitowała pospiesznie, przerażona jego bliskością. Mogła policzyć włoski jego wąsów. Pochyliła się nad biurkiem. - Jeden kwiat czy dwa?

- Dwa.

- Kosztują majątek.

- Nie szkodzi. Cena nie gra roli.

- Odbierzesz sam, czy przesłać do domu?

- Dostarcz je w sobotę po południu.

- Na jaki adres?

- Dwadzieścia trzy East Stratton.

Pióro wypadło jej z dłoni i potoczyło się po blacie na podłogę. Osłupiały wzrok Kyli napotkał ciemnozielone nieruchome spojrzenie.

- To mój adres.

- Pójdziesz ze mną na ten bankiet?

Bezradnie kręciła głową, niezdolna wydusić ani słowa.

- Nie, ja… nie mogę.

- To nie będzie randka - namawiał żarliwie. - To przyjęcie dla bankierów i potencjalnych inwestorów. Grupa developerów zaprezentuje film o możliwościach inwestycyjnych w mieście.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Mieszkasz tu od urodzenia, ja jestem nowy. Mogłabyś mnie wprowadzić do towarzystwa.

Jednej rzeczy Kyla była zupełnie pewna: Trevora Rule'a nie trzeba donikąd wprowadzać. Wystarczał jeden zniewalający uśmiech, by wszyscy, a zwłaszcza kobiety, garnęli się do niego jak pszczoły do miodu. Przyciągał do siebie z jednakowo nieodpartą siłą mężczyzn i kobiety, a każdy marzył, żeby zostać jego przyjacielem. Kiedy Stwórca obdarzał ludzi magnetyzmem, Trevorowi przypadła podwójna porcja.

- Nie, wybacz, ale nie mogę.

Był zbyt atrakcyjny, a przez to niebezpieczny. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby po mieście rozeszła się plotka, iż Kylę Stroud widuje się w towarzystwie kawalera, który jest świetną partią.

- Nie przypuszczałem, bym kiedykolwiek musiał uciekać się do takich chwytów, żeby umówić się z piękną kobietą. Ale trudno, potraktuj to jako krok podyktowany desperacją.

- Uciekać się do czego?

Obdarzył ją przeciągłym, roziskrzonym spojrzeniem.

- Jesteś mi winna przysługę.

- Czy któreś z was może łaskawie zająć się tym łobuziakiem?

W progu stała zirytowana Babs, trzymając na rękach Aarona niczym żywy dowód przestępstwa. Malec w zaciśniętej piąstce miętosił poszarpane resztki goździków. Smuga rozsypanych płatków i mokre plamy znaczyły trasę jego niszczycielskiej działalności.

- Ojej, Babs, przepraszam. - Kyla porwała Aarona z jej ramion.

- W porządku. Zmarnował goździki za jakieś dziesięć dolarów i stłukł wazon, w którym moczył misia. Widzę, że jesteście strasznie zajęci. - Świdrujące błękitne spojrzenie przesuwało się od Kyli do Trevora, i z powrotem.

- My... cóż, pan Rule... zamawiał kwiaty.

Babs zrobiła pełną niedowierzania minę i zostawiła ich samych.

- No to jak będzie z sobotą? - zapytał Trevor.

- Nie wiem. - Kyla toczyła potyczkę z synem, usiłując odebrać mu wymiętoszone goździki. Aaron w końcu skapitulował. Powinna chłodno odmówić, lecz przysługa za przysługę. Skoro to ma być tylko spotkanie w interesach. ..

- Ale to nie będzie randka? - upewniła się.

- Nie.

- Nie chciałabym, żebyś fałszywie odebrał moją zgodę.

- Rozumiem.

- Widzisz, jestem wdową i nie umawiam się na randki.

- Wiem, już-mi to mówiłaś.

- Dobrze więc, pójdę.

- Świetnie. Przyjadę po ciebie o siódmej. Nie zapomnij przypinki. Cześć, bąku - połaskotał Aarona w podbródek. - Eto soboty, Kyla.

Kiedy tylko odszedł, natychmiast zjawiła się Babs.

- Do soboty, Kyla, tak powiedział?

- Tak. Wybieram się z nim na przyjęcie.

- To wspaniale! - Babs aż klasnęła w ręce z uciechy. - Co na siebie założysz?

- Cokolwiek. - Widząc, że Babs ma zamiar zaprotestować, dodała z rezygnacją: - Słuchaj, nie muszę się stroić, bo to nie jest randka.

- O, tak, jest.
- Nie jest. To spotkanie w interesach. Poprosił mnie, żebym go wprowadziła.
- Uhm.
- Naprawdę!
- Uhm.
- Sam tak powiedział, że to nie jest randka!
- Uhm.

ROZDZIAŁ 5

Bez wątpienia jednak wokół sobotniego spotkania unosiła się niecodzienna aura.

Kyla odczuwała podobne zdenerwowanie przed pierwszą randką, przed maturą i przed ślubem. O ślubie z Richardem wolała w ogóle nie myśleć. To z kolei implikowało wrażenie, że spotkanie z Trevorem ma niejednoznaczny kontekst, czemu uporczywie próbowała zaprzeczać.

Nic nie wychodziło jak należy. Nie mogła uporać się z makijażem, trzykrotnie poprawiała kreskę na powiece. Aaron marudził i rozrabiał, wszędzie go było pełno. Rodzice co i rusz zaglądali do sypialni, nagabując, ponaglając, informując o prognozie pogody i oferując pomoc - jednym słowem, stając się nieznośnym utrapieniem.

Babs (na szczęście tego wieczora miała ważną randkę) uparła się, by przyjaciółka na tę „okazję" - choć Kyla uparcie odmawiała temu wydarzeniu tak istotnej rangi - nabyła nową kreację.

- Podoba mi się ta żółta - orzekła Kyla, kiedy wybrały się razem na zakupy; Babs skwitowała ten wybór błazeńskim grymasem, wsparłszy ręce na biodrach.

- Wolisz wyglądać jak Mata Hari czy jak sierotka Marysia? - kpiła.

- Wolę wyglądać jak ja sama.

- Przymierz jeszcze raz tę czarną.

- Ale ona jest za… za…

- I o to chodzi - przerwała zniecierpliwiona Babs, przykładając do Kyli lejący się jedwab. - Jest szałowa, pasuje idealnie. Mam rację? - zwróciła się do spłoszonej sprzedawczyni tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ma pani rację.

Opuściły sklep, unosząc zapakowaną czarną suknię. Kyla instynktownie wyczuwała, że popełnia błąd, kupując zbyt szykowny strój. Trevor gotów sobie pomyśleć... Bóg raczy wiedzieć, co sobie pomyśli.

Trapiące ją od początku wątpliwości wzmogły się, kiedy zapięła koktajlową kreację i stanęła przed lustrem. Obcisły jedwab eksponował powabne szczegóły sylwetki, a czerń korzystnie podkreślała odcień karnacji, zwłaszcza po nałożeniu na policzki cieniutkiej warstwy różu, na powieki dyskretnych cieni, a na wargi błyszczącej szminki w kolorze dojrzałej brzoskwini. Miękkie, rozpuszczone włosy okalały twarz. Podkręciła nieco opadające na ramiona końce, gęste pasmo z lewej strony zaczesała do tyłu i spięła ozdobnym grzebieniem. Szyję przystroiła pojedynczym sznurem pereł, a uszy perłowymi klipsami.

Usłyszawszy dzwonek do drzwi, chwyciła orchidee i przypięła je do sukni. Z pośpiechu pokłuła sobie palce i zaklęła pod nosem, dziękując Bogu, że Aarona nie ma w pobliżu i nie słyszy tak niestosownych wyrazów.

Przypinka do sukni stała się tego popołudnia kolejnym punktem spornym między nią a Babs.

- Już wpół do piątej, a ty nic nie przygotowałaś - łajała Kylę przyjaciółka.

- I wcale nie mam zamiaru.

- Nawet o tym nie myśl. Wysłałam mu już rachunek!

- Co takiego?

- Zamówił orchidee, za które wystawiłam mu rachunek.

Kyla, zżymając się z gniewu, zabrała się za układanie bukietu.

- Do kitu. - Babs bacznie nadzorowała jej poczynania. - Zamówił dwie orchidee, a nie jedną.

- Skąd wiesz?

- Przypadkowo podsłuchałam. Prosił też, żeby nie oszczędzać. Podłóż więcej koronki.

Kyla przejrzała się ponownie w lustrze i uznała, że całość - czarna suknia, perły i kwiaty z oranżerii - prezentuje się bez zarzutu.

Sama czuła się niczym wychuchany w cieplarni kwiat, drżący z pragnienia i niepokoju przed nieznanym, które nieodwołalnie ma nastąpić. Ona, wdowa i matka, oczekiwała Trevora niczym niewinna, złakniona wrażeń, wkraczająca w życie nowicjuszka.

- To śmieszne - skarciła siebie poirytowana, chwytając małą czarną wieczorową torebkę i gasząc światło w sypialni. - Nie idę przecież na randkę. - Wbijała to sobie do głowy, stawiając niepewne kroki na schodach.

Trevor bawił się z Aaronem, rozmawiając jednocześnie z rodzicami.

- .. .będzie skończone w ciągu dwóch tygodni...

Cała trójka zamilkła z wrażenia na jej widok.

Ostatkiem woli Kyla zmusiła się, by pod rozpalonym wzrokiem Trevora nie stracić równowagi." Nie umiała jednak powstrzymać trzepotu serca.

- Jak się masz, Trevor. '
- Witaj.

Aaron szarpał go za wąsy, lecz on nie zwracał na to uwagi. Nie odrywał zachwyconego spojrzenia od Kyli. Jej udzielił się podobny nastrój, bowiem Trevor wyglądał wprost olśniewająco. Miał na sobie stalowoszary garnitur. Śnieżnobiała koszula wytwornie kontrastowała z kruczoczarnymi włosami i smagłą cerą. Krawat w czarno-srebrne prążki na innym mężczyźnie wyglądałby zapewne dość pospolicie, lecz Trevor Rule był niepospolity w każdym calu. Nawet czarna opaska wydawała się atrybutem dystynkcji.

- Orchidee są piękne.
- O tak. - Dotknęła kwiatów koniuszkami palców, zawstydzona i oszołomiona. - Dziękuję.

Wykaż się inteligencją, idiotko, powiedz coś sensownego, upomniała się w duchu.

Na ratunek przyszedł jej Aaron. Zwyczajem małych brzdąców, których poczynań nie sposób przewidzieć, wykonał raptowny zwrot i jednym susem rzucił się w objęcia matki. Odruchowo wyciągnęła ramiona, by ochronić niepoprawnego skoczka przed upadkiem. Trevor nie zdążył jeszcze wypuścić małego, jego ramię mimowolnie podążyło za wymykającym się malcem, tak że przez moment zawisło między pulchnym ciałkiem a piersią Kyli. Ten krępujący dla wszystkich incydent próbowano natychmiast zatuszować szybką wymianą zdań.

- Daj mi dziecko - powiedziała Meg.
- Idźcie już, bo się spóźnicie - poradził Clif.
- Gotowa? - zapytał Trevor.
- Chyba tak. Dobranoc, Aaron.
- Położymy Aarona spać, nie musisz się spieszyć z powrotem - zapewniła Meg.

- Jedźcie ostrożnie, macie mnóstwo czasu! - zawołał za nimi Clif, kiedy wychodzili.

Kyla westchnęła, zirytowana. Mało brakowało, żeby ojciec upozował ich tam, w holu, i posłał matkę po aparat, by uwiecznić na kliszy to podniosłe wydarzenie. Trevor wytwornym gestem otworzył przed nią drzwiczki, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek między nimi zaszło.

- Wiem, że to nie jest randka, ale wolno mi chyba zauważyć, że ślicznie wyglądasz? - próbował rozładować atmosferę, obracając w żart krępujące zajście.

Doceniła jego starania.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem, czując, że napięcie opada.

- Nie ma za co.

Sięgnął do gałki radia, by nastawić muzykę, i odsłonił przy tym ruchu sztywno wykrochmalony mankiet, spięty elegancką spinką w kształcie kwadratowego hebanowego oczka osadzonego w złotym obramowaniu.. Musiała przyznać, że miał nieskazitelny gust.

- Jak ci minął tydzień?

- Pracowicie - odparła Kyla wdzięczna za to zagajenie, bowiem sama nie znajdowała jakiegokolwiek sensownego wątku. Trevor natomiast z niewymuszoną swobodą wciągnął ją w ożywioną rozmowę, toteż nim się spostrzegła dotarli na miejsce.

Otwarty przed dwoma laty Country Club w Chandler mieścił się w nowoczesnym budynku z naturalnego kamienia. Trevor poprowadził Kylę ścieżką wzdłuż pola golfowego, wiodącego od parkingu do głównego wejścia.

Prawie przyzwyczaiła się do jego ramienia podtrzymującego jej łokieć. Zupełnie jednak nie przywykła do niespodziewanej bliskości jego twarzy przy swojej szyi.

- Tym razem się nie mylę. To jest twój zapach, a nie kwiatów. Fantastyczny.

- Dziękuję - wybąkała otumaniona tą wyszukaną wytwornością, nieodpartym zmysłowym urokiem, zniewalającą męską siłą. Nie bała się, lecz czuła się zagrożona. Wmawiała sobie, że to jedynie czysta ciekawość, a nie pobudzenie zmysłów, wywołuje ów stan obezwładnienia.

Goście raczyli się koktajlami przed rozpoczęciem właściwej uroczystości w sali, której okna wychodziły na pole golfowe i basen. Gwar rozmów zagłuszał dźwięki popularnej melodii, które dobiegały z podium w rogu pomieszczenia, gdzie ulokowano kilkuosobowy zespół muzyków.

- Czego się napijesz? - Trevor niemal wykrzyczał to pytanie prosto do jej ucha.

- Wody sodowej z limonką - odpowiedziała równie wytężonym głosem. Skinął głową i zaczął torować sobie drogę w stronę baru, zostawiając za sobą wonną smugę wody kolońskiej. Kyli podobał się ten czysty, orzeźwiający zapach z nutką cytryny. Z uznaniem szacowała doskonały krój szytego na miarę garnituru, kiedy...

- Kyla Stroud! Mówiłam Herbiemu, że to ty. Jakże miło cię widzieć, moja droga.

- Dobry wieczór państwu.

- Jak miewają się rodzice?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- A twój mały?

- Och, straszny z niego psotnik. - Roześmiała się miękko. - Nie sposób za nim nadążyć.

- Kyla, twój drink. - Przyjęła z rąk Trevora szklaneczkę z wodą sodową; wyrażające zaskoczenie twarze potwierdziły jej najgorsze obawy.

- Dziękuję, Trevor. Pozwól, że ci przedstawię: państwo Baker. Pani Baker uczyła mnie w siódmej klasie angielskiego. Pan Baker jest właścicielem towarzystwa ubezpieczeniowego. Trevor Rule - dokonała prezentacji swojego towarzysza.

- Rule, Rule - powtarzał pan Baker, potrząsając dłonią Trevora. - Ach, tak, Rule Enterprises! Przedsiębiorca budowlany? Widziałem reklamy pana firmy.

- Tak, założyłem niedawno własne przedsiębiorstwo.

- Nie mógł pan wybrać lepszego miejsca. Niegdyś Chandler było ospałą mieściną. Ale dzisiaj wszystko wygląda inaczej. Wstąpił pan do Izby Handlowej w ubiegłym tygodniu, jak mi się zdaje?

- Zgadza się.

- Cieszę się. Zasiadam w komisji członkowskiej.

W trakcie tej wymiany zdań pani Baker świdrowała młodych przenikliwym spojrzeniem, jak gdyby w oczach miała zainstalowany rentgen.

- Znaliście się przedtem?

Kyla nie dowiedziała się, przed czym, bowiem Trevor przerwał tę wnikliwą lustrację.

- Proszę wybaczyć, ale ktoś czeka, żeby poznać Kylę. - Skłonił się Bakerom uprzejmie, Kyla posłała im mdły uśmiech i dała się poprowadzić w drugi koniec sali. - Wiem, że czujesz się nieswojo, kiedy widzą nas razem.

- Nie o to chodzi. Denerwują mnie te wszystkie plotki i komentarze.

- Skąd wiesz, o czym plotkują?

- Nietrudno zgadnąć. „Pora już, żeby młoda wdowa zaczęła bywać w towarzystwie", albo: „Za wcześnie jeszcze, żeby wdowa zaczęła bywać w towarzystwie". Rodzice zaś zachowują się tak, jak gdyby na gwałt chcieli po-

zbyć się z domu najstarszej córki, by móc wydać za mąż pozostałe sześć.

- Nie jest tak źle - zaśmiał się Trevor. - Zanadto bierzesz to sobie do serca.

- Nie zdziwiłabym się wcale, gdybyś miał tego dosyć.

- Ale nie mam dosyć.

- Odnoszę wrażenie, że moi znajomi przemienili się w szpiegów i plotkarzy.

- Za bardzo przejmujesz się tym, co sobie ludzie pomyślą.

- Wiem. Nie wydaje ci się, że wszyscy się na ciebie gapią jak na manekin w witrynie sklepowej?

Trevor spoważniał.

- Nie obchodzi mnie to, co ludzie gadają o mnie. Chciałbym natomiast tobie oszczędzić przykrości.

- Mam ochotę im wszystkim oznajmić, że nie jesteśmy parą.

- Co mam zrobić? Publicznie ogłosić to przez megafon?

Tak gawędząc i lawirując w tłumie gości, dotarli w drugi koniec sali. Może udałoby się, przynajmniej częściowo, zapobiec plotkom, gdyby włączyli się do rozmowy szerszego grona uczestników. Lecz widok pary całkowicie pochłoniętej poważną dysputą narzucał nieodparte skojarzenie, że ową parę łączą dość zażyłe, jeśli nie wręcz intymne, stosunki.

Kyla odsunęła się nieznacznie od Trevora i upiła łyk ze swojej szklaneczki. On poszedł w jej ślady i pociągnął haust czystej whisky.

- Poprawi ci humor, jeśli powiem, że szałowo wyglądasz?

Przesunęła palcem po brzegu szklanki.

- Och, daj spokój.

- W porządku. W takim razie słowem nie wspomnę, że twoja suknia jest wprost olśniewająca.

Jej wzrok prześlizgnął się po jego ironicznie uśmiechniętej twarzy. Przybrała sztywną maskę wystudiowanej grzeczności.

- Wdzięczna jestem, że o tym nie wspomniałeś.

- Może pójdziemy zająć miejsca przy stole? Co ty na to?

Po drodze do sali bankietowej przyłączyli się do nich Lynn i Ted Haskellowie. Młody bankier z żoną od niedawna bawili w Chandler i nie znali przeszłości Kyli. Trevor przedstawił im ją jako swoją przyjaciółkę. Kyli spodobali sieci sympatyczni ludzie; obiad upłynął w pogodnej i ożywionej atmosferze.

Trevor zabiegał, by Kyli niczego nie brakowało, troskliwie podsuwał sól, pieprz, masło, pieczywo, wodę, kawę. Owa dbałość napełniała ją głębokim zadowoleniem. Posiłki z Aaronem przypominały raczej wojnę podjazdową i składały się z nieustannych ataków i odwrotów. Kyla, zajęta nadaremnym poskramianiem niesfornego malca, wycieraniem rozlanego mleka i sprzątaniem rozrzuconych wokół resztek jedzenia, nie miała zazwyczaj okazji, by spokojnie przełknąć swoją porcję.

- Czyżby ci nie smakowało? - dokuczał jej Trevor, kiedy kelner niepostrzeżenie usunął ze stołu wymieciony do czysta talerz Kyli.

Zarumieniła się, odrobinę zmieszana.

- Bardzo mi smakowało. Przede wszystkim mogłam zjeść w spokoju. Z Aaronem coś takiego, to nie lada sztuka. Wiesz, ledwo się powstrzymałam, żeby nie pokrajać ci mięsa na talerzu. Nie zdziw się, jeśli zacznę wycierać ci usta serwetką.

Zamrugał wystraszony, po czym na jego wargi wypłynął przekorny, ukradkowy uśmieszek.

- Kyla, jeśli zaczniesz wycierać mi usta, chyba nie będę się mógł oprzeć zdziwieniu.

Jej policzki płonęły żywym ogniem, skronie pulsowały, serce łomotało jak szalone. Najchętniej umarłaby ze wstydu.

- Ja... chciałam powiedzieć...

- Wiem, co chciałaś powiedzieć - wyręczył ją Trevor. - Jeszcze kawy?

Krępującą sytuację uratował rozpoczynający się pokaz filmu. Lektor długo i kwieciście rozwodził się nad wyjątkowymi przymiotami Teksasu, a zwłaszcza miasta Chandler.

- Znudzona? - szepnął Trevor wprost do ucha Kyli.

Bezskutecznie usiłowała stłumić ziewnięcie.

- Nie, skąd. To bardzo interesujące.

- Ale z ciebie kłamczucha - mruknął. Zachichotała, pochylając głowę. - Chcesz wyjść?

- Nie! - zaprzeczyła, wiedząc, jak ważny jest dla niego ten wieczór.

- Możemy się wymknąć.

- Nie, naprawdę, wszystko w porządku.

- Na pewno?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Jesteś cudowna, Kyla. - Napotkała jego rozgorzałe spojrzenie. - No już dobrze, tak tylko wspomniałem, żeby sprawdzić, czy słuchasz. - Odsunął się i oparł na krześle.

Kyla rozejrzała się niespokojnie po sali. Ujrzała zaintrygowany wzrok pani Baker i natychmiast przeniosła oczy na bankiera i jego żonę. Ted delikatnie głaskał dłoń Lynn spoczywającą na jego udzie. Widok tej słodkiej, podświa-

domie wyrażanej małżeńskiej czułości przepełnił Kylę falą wzruszenia.

Podobną czułość okazywaliśmy sobie z Richardem nieustannie, powiedziała sobie w duchu.

Zesztywniała, zmrożona nagłym poczuciem winy. Po raz pierwszy do wielu godzin pomyślała o Richardzie. Co się z nią, do licha, dzieje? Starała się usilnie przywołać wspomnienie twarzy męża, jego uśmiechu, zabawnych min, żarcików, póki mówca nie zakończył rozwlekłych dywagacji.

Kyla i Trevor jedni z pierwszych opuścili klub. Kiedy wsiadali do samochodu, zaczął siąpić deszcz.

- Masz ochotę na coś słodkiego? - spytał Trevor już w drodze. - Albo na kawę?
- Chyba nie.
- A na drinka?
- Nie, dziękuję, Trevor. Powinnam już wracać.
- Zgoda.

Kyli zdawało się, że w jego głosie zadźwięczała nutka rozczarowania. Niewątpliwie się myliła. Z pewnością w równym stopniu jak ona jest zadowolony, że ten wieczór dobiega końca.

Mówili niewiele, wsłuchani w odgłos deszczu bębniącego o dach samochodu i rytmiczny zgrzyt wycieraczek.

Najwyraźniej do prowadzenia auta służyła mu jedynie lewa ręka, prawa bowiem odznaczała się niezwykłą ruchliwością. Najpierw sięgnęła do radia, przekręcając gałkę potencjometru na cały regulator, by po kilku sekundach skorygować zbyt głośne brzmienie. Potem wysunęła się w stronę termostatu.

- Ciepło?

- Tak, świetnie.

Ręka cofnęła się, ale nie znalazła sobie spokojnej przystani. Uniosła się, by rozluźnić węzeł krawata. Przeczesała włosy. Po raz kolejny dokonała korekty natężenia dźwięku. W końcu spoczęła na siedzeniu, w połowie dzielącej ich odległości.

Kyla kątem oka z rosnącą obawą śledziła nerwowe poczynania niespokojnej dłoni.

Co ma począć, jeśli owa ręka zanadto się zbliży? Zaprotestować? Co ma zrobić, jeśli owa ręka wysunie się i chwyci ją za udo? Krzyczeć? A co, jeśli ta ruchliwa dłoń zacznie ją głaskać? Mają strzepnąć?

Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, a dłonie wilgotnieją ze strachu. Jeszcze nigdy nie wyczekiwała widoku rodzinnego domu z takim utęsknieniem.

Lecz owa ręka nie wykonała żadnego z tych ruchów, o jakie ją tak niecnie podejrzewano.

Trevor podjechał do krawężnika i zgasił silnik.

- Poczekaj - powstrzymał Kylę, kiedy zamierzała otworzyć drzwiczki. - Mam parasol. - Sięgnął po parasol leżący na tylnym siedzeniu, potem wysiadł, okrążył auto i otworzył drzwiczki z jej strony.

Nie miała pojęcia, jak to się stało. Być może nadto gorliwie próbowała chronić się przed deszczem pod skąpą czaszą jedwabiu i niespodziewanie znalazła się zbyt blisko Trevora. Bezwiednie odchyliła głowę do tyłu. Jego twarz znalazła się tuż obok jej twarzy. Mocna dłoń objęła Kylę za szyję, a szorstkie wąsy dotknęły jej policzka. Potem poczuła na ustach leciutkie muśnięcie gorących, złaknionych warg.

Odskoczyła raptownie, pochylając głowę. Choć połączyła ich jedynie przelotna, efemeryczna pieszczota, czuła na szyi piekące ślady jego palców. Deszcz spływał po

brzegach parasola rzęsistą strugą. Stali tak, tuż obok siebie, spłoszeni i milczący.

- Przepraszam - odezwał się Trevor po dłuższej chwili. - Całowanie na pierwszej randce surowo zabronione?

- To nie jest randka!

- Ach, tak. Do licha, zapomniałem.

Ostrożnie, krok za krokiem, skierowali się w stronę domu w kompletnej ciemności. Na werandzie Trevor złożył parasol i otrzepał go zamaszyście.

- Dziękuję ci, Trevor, za miły wieczór - powiedziała Kyla.

- Wiem, postanowiliśmy nie nazywać tego wieczoru randką. - Upuszczony parasol z cichym stukotem odbił się o deski werandy.

- Tak się umówiliśmy.

- Zgoda,ale...

- Co takiego?

- Nie naciskam. Nie chcę, żebyś pomyślała, że wywieram presję.

- Wcale tak nie myślę.

- Ale... - Postąpił krok w jej kierunku, potem następny. - Powiedz, że to była randka. Czy mogłabyś...

- Mogłabym co?

Zagarnął jej twarz w czułe dłonie. Przymknęła powieki. Wyłowił spragnionymi wargami jej usta, przywarł do nich i rozchylał je delikatnie koniuszkiem języka. Poczuła, jak ruchliwy, zachłanny język wsuwa się do jej ust i pieści ich miękkie wnętrze. Potem nagle znieruchomiał, ustąpił, wymknął się.

- Dobranoc, Kyla.

- Dobranoc.

Sama nie wiedziała, w jaki sposób to słowo znalazło

ujście przez ściśnięte gardło. Przez chwilę, kompletnie oszołomiona, obserwowała oddalającego się Trevora.

Pobiegła na górę, wmawiając sobie usilnie, że skoro to nie była prawdziwa randka, pocałunek też nie był prawdziwy. Lecz jej drugie ja nie dało się tak łatwo zwieść. To był najprawdziwszy pocałunek. To, czego doznała, było słownikową, encyklopedyczną definicją pocałunku. Odpięła orchidee i położyła je na komodzie. Perły, które zazwyczaj pieczołowicie składała w aksamitnym etui, cisnęła niedbale między flakony z perfumami. Czarna suknia i bielizna wylądowały w nieładzie na krześle. Po raz pierwszy od wielu miesięcy położyła się naga do łóżka. Sięgając do wyłącznika lampy, natknęła się wzrokiem na zdjęcie Richarda.

Rozpłakała się.

ROZDZIAŁ 6

Dureń, cholerny głupiec - zżymał się na siebie Trevor. - Tchórzliwy obłudnik - sapał ze złości, pociągając łyk whisky z wysokiej szklanki. - Kłamliwy oportunista.

Okłamywał Kylę. Nie potrafił zdobyć się na odwagę, by jej wyjawić, kim naprawdę jest. Wiedział, że postępuje podle. Jednakże nie mógł tak po prostu wyznać: Jestem Buźka, pamiętasz? Twój mąż pisał ci o mnie. Facet z gatunku tych, których nie znosisz. Egoista. Uważa się za dar niebios zesłany kobietom. Obleśny typ i rozpustnik".

Trevor przycisnął czoło do wyziębionej deszczem szyby. To, co robił, było podstępną, niewybaczalną manipulacją. Nie miał niczego na własną obronę. Nie miał? Chyba jednak tak, ale któż by mu uwierzył? Kto by dał wiarę, że zakochał się w kobiecie, której nigdy przedtem nie widział na oczy? Że zapałał miłością po lekturze jej listów? Sam ledwie w to uwierzył. Wcześniej czy później musi się przyznać. Ale kiedy? Jak to zrobić? Jak Kyla się zachowa, kiedy dowie się prawdy?

Nietrudno było przewidzieć jej reakcję: wściekłość, wzgarda i nienawiść. Nie takie uczucia pragnął wyczytać

w jej ciemnych oczach. Czy zdobędzie się na to, by wyznać prawdę przy następnym spotkaniu? Jaki sens miało składanie obietnic, których nie sposób dotrzymać? Nie powie prawdy. Jeszcze nie teraz. Póki nie...

Leżąc samotnie w łóżku, przypatrywał się srebrzystej pajęczynie kropli, utkanej na szybie przez deszcz. Myślami błądził wokół Kyli i pocałunku na werandzie. Miała takie rozkoszne wargi - ciepłe, wilgotne i miękkie. Pod wymuszoną powściągliwością w tych ustach kryła się namiętna, kipiąca zmysłowość.

Wiesz, jak kocham deszcz. Dziś cały dzień pada. Lecz ta bezlitosna, nieustępliwa ulewa zamiast mnie cieszyć - przygnębia. Wydawać by się mogło, że słońce odwróciło się od świata raz na zawsze. Roztańczone, błyszczące kropelki nie pluskają radośnie o kałuże. Ołowiane, złowieszcze krople działają na mnie przytłaczająco, niosą ze sobą smutek ciążący niczym żelazna kolczuga.

Wiem, dlaczego tak się dzieje. Deszcz jest zjawiskiem, które trzeba przeżywać wspólnie. Nie ma niczego przyjemniejszego niż szukanie przed nim osłony razem z ukochaną osobą. Kiedy trzeba znosić go samotnie, staje się przykrą, przygniatającą udręką.

Trevor wydał cichy jęk na wspomnienie tych słów.

- Gdybyś była tu ze mną, Kylo, dzieliłbym z tobą wszystko - wyszeptał w ciemność.

- Chyba zwariowałaś!

- Nie chcę o tym dyskutować, Babs.

- Bo dobrze wiesz, że nie masz racji. Jesteś uparta jak osioł.

- Nie jestem uparta, tylko rozsądna.

Przyjaciółki zmywały naczynia po śniadaniu. Intencje

Babs były aż nadto czytelne. Zjawiła się niespodziewanie w niedzielny poranek i już od progu suszyła Kyli głowę o randkę z Trevorem.

- Nie wierzę, że nie chcesz się z nim więcej spotkać.

- No to uwierz.

- Ale dlaczego?

- To moja sprawa.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, więc również i moja.

Kyla odwiesiła ścierkę do naczyń.

-. Daj spokój, Babs. Za mało ci kłopotów z własnym życiem, musisz wtrącać się w moje? - Opuściła kuchnię i skierowała się w stronę schodów. Babs deptała jej po piętach.

- Moim stosunkom miłosnym niczego nie brakuje. Twoje natomiast osiągnęły punkt krytyczny.

Kyla przystanęła i odwróciła się na pięcie.

- Ja nie utrzymuję żadnych stosunków miłosnych.

- No i w tym sęk.

- A co więcej, nie mam takiego zamiaru.

- Nie ma sprawy. Wymaż słowo miłość, a wstaw słowo seks. Pomówmy o twoim życiu seksualnym.

- To obrzydliwe!

Babs złapała Kylę za ramię.

- Obrzydliwe? Od kiedy to zdrowe pożycie seksualne jest obrzydliwe? Kiedyś się przed nim nie wzbraniałaś.

- Owszem. - Kyla wyrwała ramię z uścisku. - Robiłam to z mężczyzną, którego kochałam, z własnym mężem, który kochał mnie i szanował. Tak powinno układać się pożycie seksualne. - Łzy napłynęły jej do oczu, biegiem pokonała resztę stopni, by ukryć przed Babs wzruszenie.

Powersowie udali się do kościoła na niedzielne nauki i zabrali ze sobą Aarona. Kyla miała dołączyć do nich przed nabożeństwem.

Wkładała sukienkę, kiedy Babs, odrobinę przygaszona i osowiała, przysiadła na brzegu łóżka.

- Masz rację, tak byłoby idealnie - przyznała markotnie. - Ale nie zawsze spotyka nas takie szczęście. Trzeba brać to, co się nawinie.

- Nie ja. To, czego zaznałam, było idealne. Nie potrzebuję niczego więcej.

- Do licha, dziewczyno! Nie ma idealniejszego faceta niż Trevor Rule!

Po przepłakanej nocy Kyla była kompletnie roztrzęsiona. Zdjęcie Richarda na nocnym stoliku uświadomiło jej zdradę, jakiej się dopuściła. Przyrzekła, że mąż będzie zawsze żył w jej sercu. Spędzając czas w towarzystwie Trevora Rule'a, naraża na szwank swoją lojalność wobec Richarda i wystawia ją na ciężką próbę.

- Skąd mam wiedzieć, czy jest taki idealny? - odparowała. - Nic o nim nie wiem. Poznałam go zaledwie przed tygodniem.

- Wiesz, że jest diabelnie przystojny. A w dodatku delikatny, uważny i dobrze ułożony. Uprzejmie odnosi się do starszych i lubi dzieci. Jest ambitny. To mało? Czego ci więcej trzeba?

- Ten opis pasuje do tuzina innych mężczyzn. Nie wyjdę za mąż za żadnego z nich.

- A kto tu mówi o małżeństwie? Rzecz w tym, żeby gdzieś wyjść, zabawić się, rozerwać. No i pójść do łóżka. - Babs chytrze zerknęła na Kylę.

Ten cholerny pocałunek. Tak intymny, tak zmysłowy.

Dlaczego na to pozwoliła? Dlaczego nie potrafi wymazać go z pamięci? Dlaczego w nim tak zasmakowała?

- Nie mów głupstw. - Trzęsącymi rękami Kyla upychała do torby pieluszki. Aaron zapewne zdążył się niemiłosiernie ubrudzić. - Nawet o tym nie myślę.

- Kłamczucha. Jasne, że myślisz, moja droga, może podświadomie, ale myślisz. Nie możesz tak po prostu odrzucić swojego seksualizmu tylko dlatego, że twój mąż nie żyje. Popęd to nie para znoszonych skarpetek. Tkwi w tobie głęboko, jest biologicznie uwarunkowaną skłonnością i musisz się z tym faktem pogodzić.

- Już to zrobiłam.

- Nie wydaje mi się.

- Skąd ta wątpliwość?

- Bo założyłaś klipsy nie do pary.

Kyla z niedowierzaniem zerknęła do lustra. Babs miała rację.

- To niczego nie dowodzi - najeżyła się i zdenerwowana zamieniła klipsy.

Babs podniosła się i podeszła do przyjaciółki.

- Wiem, że kochałaś Richarda. Nie zamierzam namawiać cię, żebyś o nim zapomniała.

- Nigdy o nim nie zapomnę.

- Wiem - Babs przybrała najłagodniejszy ton, na jaki było ją stać - ale on nie żyje, a ty tak. A żyć nie jest grzechem.

- Spóźnię się do kościoła - uciekła Kyla.

Babs dogoniła ją przy frontowych drzwiach.

- Będziesz czy nie?

- Czy co będę? - Kyla ostatnim rzutem oka sprawdziła fryzurę w lustrze wiszącym w holu.

- Spotykać się z Trevorem?

- Nie. Koniec dyskusji na ten temat.

Babs przyjrzała się Kyli podejrzliwie i wymierzyła w nią oskarżycielski palec.

- Ach, więc randka się udała, dlatego jesteś taka nabzdyczona. Podejrzewałam, do licha, wiedziałam, że tak będzie!

Udała się aż za dobrze, pomyślała Kyla, a głośno powiedziała:

- Odpłaciłam mu przysługą za przysługę. Teraz jesteśmy kwita. Prawdopodobnie - dodała, pchnąwszy siatkowe drzwi prowadzące na werandę - więcej mnie nie zaprosi.

A jednak zaprosił. W czwartek w kwiaciarni zadzwonił telefon. Babs zajęta była klientem, telefon odebrała więc Kyla.

- Różowy Pączek.
- Kyla? Jak się masz.
- Dzień dobry.
- Mówi Trevor.

Nie potrzebował się przedstawiać, natychmiast rozpoznała ten głęboki, matowy głos. Poczuła, jak miękną jej nogi w kolanach.

- Jak się masz? - starała się przybrać opanowany ton.
- Dobrze, a ty?
- Świetnie. Jestem bardzo zajęta. Mam tyle roboty, że ani się spostrzegłam, jak minął ten tydzień - powiedziała, jak gdyby chciała uprzedzić jakiekolwiek supozycje, że czekała na jego telefon. Do czego miały służyć te przewrotne gierki, sama nie wiedziała.
- Jak Aaron?
- Nie do wytrzymania. Chyba wyrzyna mu się kolejny ząbek.

W słuchawce rozległ się gromki, spontaniczny wybuch śmiechu.

- Ma prawo marudzić w takich okolicznościach.

Nerwowo zaciskała palce na słuchawce. Czy ma mu jeszcze raz podziękować za sobotni wieczór? Nie, lepiej ani słowem nie nadmieniać o sobocie. Ani o pocałunku.

- Dzwonię,bo...

- Tak?

- Wiem, że to trochę późno, ale Haskellowie... pamiętasz Teda i Lynn?

- Oczywiście.

- Cóż, zaprosili mnie jutro na barbecue, na steki z rusztu. Poszłabyś ze mną?

- Chyba nie będę mogła.

- Lynn napomknęła, że… - pospieszył z wyjaśnieniem - zapytała, czy miałbym ochotę z kimś przyjść. Bardzo się ucieszyła, kiedy wspomniałem o tobie. Zdaje się, że przypadłyście sobie do gustu.

- O tak, bardzo ją polubiłam, ale mam kłopot z piątkowym wieczorem, Aaron...

- On jest też zaproszony. Haskellowie sami mają dwójkę, pamiętasz? Dzieci mogłyby bawić się w brodziku. Aaron przecież przepada za wodą. - Roześmiał się serdecznie, a Kyla uzmysłowiła sobie, że podoba się jej ten donośny, otwarty, bezpretensjonalny śmiech.

- Sama nie wiem, Trevor,

- Proszę!

Kyla przygryzła wargi, targana sprzeczymi uczuciami. Miała przystać na tę propozycję? Nie chciała, by powziął fałszywe mniemanie o ich znajomości. Z drugiej strony, nie miał chyba niecnych zamiarów, skoro zapraszał ją z dzieckiem. Odmówienie Haskellom wyglądałoby na nie-

uprzejmość. Polubiła tę przyjacielsko nastawioną do świata parę. Ponadto była kobietą interesu, dla której zażyłość z bankierami mogłaby okazać się niezwykle użyteczna, gdyby pewnego dnia zechciały z Babs rozszerzyć działalność i zaciągnąć kredyt na korzystnych warunkach.

Dobry Boże, kogo usiłowała przekonać?

Należy iść choćby po to, by udowodnić, że nie przywiązuje istotnego znaczenia do sobotniego spotkania i do pocałunku. Trevor mieszkał w Chandler od niedawna i potrzebował przewodniczki. I co w tym zdrożnego? Dlaczego nie miałaby spędzić miłego wieczoru z gościnnymi Haskellami?

- To brzmi zachęcająco, Trevor. Dziękuję, że mnie... nas zaprosiłeś. Z przyjemnością pójdziemy. O której?

- Jest punktualnie siódma.

- Co prawda, mój zegarek pokazuje za dwie minuty siódmą, ale jesteśmy gotowi.

Kyla odstąpiła od siatkowych drzwi, robiąc przejście Trevorowi. Miał na sobie białą koszulkę polo i ciemne płócienne spodnie. Niepoprawna Babs bez wątpienia nie powstrzymałaby się od entuzjastycznego komentarza na temat niebywałych przymiotów jego powierzchowności.

- Są rodzice?

- Nie. Prosili, żeby cię pozdrowić. W piątki zazwyczaj wychodzą do przyjaciół na partyjkę domina.

- To dlatego wahałaś się z przyjęciem zaproszenia?

Nie tylko dlatego, pomyślała Kyla. Były ku temu ważniejsze powody.

- Tak. Trudno dziś o dobrą opiekunkę. Młodym dziewczynom tylko chłopcy w głowie.

- A tobie?

- Co? Chłopcy? Oczywiście, tak, kiedy byłam podlotkiem. - Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się cicho. - Z przyjaciółką taką jak Babs nie ma się specjalnego wyboru. Przez całe liceum uganiałyśmy się za chłopakami jak dwie małe rozpustnice.

- Widzę, że te dwie rozpustnice solidnie pracowały nad opaleniznę.

Kyla, po krótkim wahaniu, zdecydowała się włożyć białą sukienkę na ramiączkach, odsłaniającą opalone ramiona i plecy. Po kąpieli posmarowała ciało balsamem, który nadał skórze gładką matowość. Potem przypudrowała świecący nos, policzki i ramiona, osiągając czarujący efekt złocistej świeżości.

- Tak, popołudniami - odparła, lekko zmieszana pod uważnym spojrzeniem. - Kiedy wracam z pracy, udaje mi się złapać jeszcze pół godziny słońca.

- Wyglądasz wspaniale. - Głos Trevora zabrzmiał nieco ochryple, podobnie jak wówczas, przed pocałunkiem.

- Aaron jest na górze - odsunęła się pospiesznie.

- Pozwól, że pomogę go znieść.

- Nie kłopocz się.

- Co cztery ręce to nie dwie - zażartował, wspinając się za Kylą po schodach. - Obawiam się, że na Aarona nie wystarczą nawet cztery.

Malec stał w kojcu. Na widok gościa zaczął radośnie gaworzyć.

- Mam wrażenie, że mnie lubi - powiedział ucieszony Trevor. Uniósł chłopca wysoko nad głowę. - Cześć, rozrabiako. Jak tam sprawowałeś się w tym tygodniu? Zjadłeś jeszcze kilka gwoździków? - Zsunięty rękaw koszuli obnażył długą, głęboką szramę idącą od nadgarstka wzdłuż

lewej ręki Trevora, który uchwycił spojrzenie Kyli i natychmiast spoważniał. - Mówiłem ci, że wygląda paskudnie.

- Musiałeś bardzo cierpieć. - Przeniosła wzrok na jego twarz.

Wzruszył ramionami.

- Trochę. Gotowa?

Niósł Aarona, Kyla przewiesiła przez ramię torbę wypchaną ubrankami na zmianę i pieluszkami.

- Wiem, wyglądam, jak gdybym wybierała się w daleką podróż - powiedziała ubawiona. - Doświadczenie nauczyło mnie, że z Aaronem trzeba być przygotowanym na wszystko. Jestem pewna, że Lynn to zrozumie.

Pomógł jej zamknąć dom.

- Musimy przełożyć z twojego samochodu fotelik Aarona - przypomniał Trevor, kiedy schodzili po schodkach z werandy.

- Daleko jedziemy? Mogłabym go trzymać na kolanach.

- Nie. Bezpieczniej mu będzie w foteliku.

- To weźmy moje auto.

- A pozwolisz prowadzić?

Uśmiechnęła się i podała mu kluczyki. Przypięli Aarona w foteliku i ruszyli szarzejącymi o tej porze ulicami.

Trevor musiał cofnąć fotel kierowcy, aby pomieścić swoje długie nogi. Prowadził tak jak poprzednio, lewą ręką leniwie opartą na kierownicy. Prawą tym razem wyprostował wzdłuż oparcia przedniego siedzenia, dotykając palcami ramienia Kyli.

- Twój pomysł zainstalowania szklanych ścian w aneksie kuchennym okazał się wyśmienity. Architekt był pełen uznania i pluł sobie w brodę, że sam na to nie wpadł.

- Szkoda byłoby nie wykorzystać tak urokliwej przestrzeni wokół domu.

- Z tego właśnie powodu wybrałem tamtą działkę pod budowę.

...dom bez drzew jest niczym. Wolałabym mieszkać w drewnianej chacie, jak rodzina Robinsonów, niż w betonowym pałacu.

Ted i Lynn Haskelłowie przywitali Kylę i Aarona z wylewną, żywiołową serdecznością. Kyla poczuła leciutkie ukłucie zazdrości, kiedy Lynn oprowadzała ją po przytulnym, gustownie urządzonym domu. Haskelłowie mieli dwoje dzieci równie sympatycznych i przyjaznych jak oni sami. Siedmioletnia dziewczynka natychmiast zaopiekowała się Aaronem, podczas gdy młodszy od niej brat doglądał pieczonych na grillu steków. Lynn ochoczo przyjęła od Kyli propozycję pomocy.

- Trevor mówił, że owdowiałaś- zagaiła, gdy znalazły się w kuchni.

Kyla na moment przerwała darcie lodowej sałaty. Lynn najwyraźniej wyczuła jej napięcie.

- Nie zwykłam roznosić plotek, Kylo, Trevor też nie. Zapytałam go po prostu o ciebie, on odpowiedział, ale nie rozwodził się na ten temat. Jeśli sprawia ci to przykrość, pomówmy o czymś innym.

- Richard zginął następnego dnia po narodzinach Aarona.

- Mój Boże - westchnęła Lynn, stawiając na stole wyjętą z lodówki sałatkę ziemniaczaną. - Jak to się stało?

Kyla pokrótce opowiedziała Lynn historię zamachu na ambasadę w Kairze.

- Minęło zaledwie półtora roku - zakończyła.

Lynn zerknęła na patio, gdzie mężczyźni popijali piwo, a dzieci pluskały się w brodziku. W tym momencie Aaron poślizgnął się i wpadł buzią do wody. Wynurzył się, krztusząc się i zachłystując. Trevor w okamgnieniu dopadł basenu. Klęcząc, ocierał mokrą buzię ręcznikiem i klepał malca po plecach.

- Mam wrażenie, że Trevor i Aaron są w bliskiej komitywie. Od dawna się znacie?

- Mniej więcej od tygodnia. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Czym chcesz udekorować sałatkę?

Lynn popatrzyła na Kylę z uśmiechem.

- Jeśli to, co mówi o Trevorze mój mąż, jest prawdą, bądź ostrożna.

- Dlaczego? A co takiego mówi Ted?

- Że Trevor jest niesłychanie ambitny i wytrwały i odważnie sobie poczyna w interesach. Jednym słowem, należy do tej kategorii mężczyzn, którzy nie spoczną, póki nie dopną wyznaczonego celu. - Lynn posłała Kyli figlarny uśmieszek. - Sądząc po uwadze, jaką ci poświęcał podczas przyjęcia, zaryzykowałabym stwierdzenie, że wziął sobie ciebie na muszkę. Jeśli nie chcesz dać się upolować, radzę ci zmykać póki czas. - Wręczyła Kyli jedną z dwóch wyjętych z lodówki puszek. - Chodź, zaniesiemy panom piwo. Pewnie z chęcią jeszcze się napiją.

Trevor umieścił Aarona między kolanami. Wycierał malca ręcznikiem tak zręcznymi ruchami, jak gdyby wykonywał tę czynność co dzień. Kyla wręczyła mu otwartą puszkę.

- Może ja się zajmę Aaronem.

Trevor obdarzył ją zalotnym uśmiechem. Upił łyk piwa i otarł z wąsów pianę.

- Jakoś sobie poradzimy. Dzięki za piwo.

Ted przyjął puszkę z rąk żony.

- Dzięki, kochanie - powiedział i pieszczotliwie poklepał ją po pośladku. Potem pogłaskał czule jej dłoń i przytulił do policzka. Lynn pochyliła się i delikatnie ucałowała go w czubek głowy.

Kyla raptem poczuła straszliwą, niewysłowioną, przygniatającą samotność.

- W domu jest ciemno - zauważył Trevor, kiedy po powrocie od Haskellów zatrzymali się na podjeździe.

- Prawdopodobnie rodzice jeszcze nie wrócili. - Wydało jej się rzeczą dziwną, że nie ma ich w domu o tak późnej porze. Dochodziła północ, a zazwyczaj kończyli grę w domino około jedenastej. Kyla nabrała podejrzenia, że to opóźnienie nie było przypadkowe.

Aarona, który smacznie zasnął na kanapie w salonie Haskellów, nie obudzono. Trevor złamał swoje zasady i zgodził się, by Kyla trzymała malca na kolanach w czasie jazdy samochodem. Okrążył wóz, by pomóc jej wysiąść.

- Klucze masz w torebce? - spytał.

- W bocznej kieszonce.

Obwieszony jej torebką i torbą z pieluszkami, zręcznie manipulował kluczem w zamku.

- Dziękuję, Trevor, za miły wieczór - powiedziała, kiedy otworzył drzwi.

- O, nie. Nie zostawię cię samej w pustym domu o tak późnej porze.

Nie znalazła stosownego argumentu, by przeciwstawić się tak stanowczej postawie. Speszona podążyła za nim na górę. Wszedł pierwszy do dziecięcego pokoju i zapalił nocną lampkę na sekretarzyku. Kyla ułożyła synka w łóżeczku.

- Rozbierzerz go bez budzenia?

- Chyba w ogóle nie będę go przebierać. Zmienię mu tylko pieluszkę. Jeśli się rozbudzi, pomyśli, że pora na śniadanie, i noc będę miała z głowy.

Trevor zachichotał, stawiając torbę na stoliku do przewijania. Zafascynowanym wzrokiem przyglądał się zwinnym palcom Kyli, kiedy zdejmowała malcowi buty i skarpetki. Ściągnęła mu szorty i plastikowe majteczki. Automatycznym ruchem sięgnęła do rzepów przytrzymujących pieluszkę i… jej dłoń znieruchomiała.

W tym momencie uświadomiła sobie, że wstydzi się obnażyć ciałko synka w krępującej obecności stojącego tuż obok, w gruncie rzeczy obcego mężczyzny. To było śmieszne, wręcz absurdalne. Nie chciała jednak dopuścić do tego, by ich trójkę połączyła nić intymności, przed czym tak zażarcie się broniła. Poczuła wzbierającą falę obezwładniającego napięcia. Trevor zauważył nagłą nieporadność zręcznych palców. Dyskretnie wycofał się i przystanął w progu wsparty o framugę. Kyla najszybciej jak potrafiła zmieniła malcowi mokrą pieluszkę. Jakimś cudem Aaron się nie obudził. Przykryła go kocykiem i zgasiła światło.

- Śpi?

- Tak. Miał masę wrażeń. Zabiorę go któregoś dnia na jeden z tych miejskich brodzików.

Zaczęła schodzić na dół. W gardle czuła ucisk, a serce trzepotało jak szalone. Wiedziona nieodpartym odruchem zapragnęła krzyczeć, by zagłuszyć wszechogarniającą ciszę pustego domu. Jeden ze stopni zaskrzypiał jękliwie pod ciężarem Trevora.

- Ależ ten stopień skrzypi.

- Och, niejeden - zaśmiała się Kyla, tuszując narasta-

jące zmieszanie. - Rodzice marzyli, żeby sprzedać ten dom. Chcieli kupić samochód kempingowy i podróżować po całym kraju.

- Co ich powstrzymało?

- Śmierć Richarda. Zrezygnowali ze swoich planów, żeby zaopiekować się nami. Stałam się dla nich ciężarem.

- Jestem pewien, że nie traktują tego w ten sposób.

- Ale ja tak. - Zatrzymała się kilka stopni niżej i odwróciła w jego stronę.

- Dlaczego nie sprzedadzą domu teraz?

- Nie chcą, żebyśmy z Aaronem mieszkali sami. Poza tym, dziś rynek nieruchomości nie jest już tak chłonny jak kiedyś. I choć to dobra dzielnica, nie dostaliby odpowiedniej ceny.

- I to cię trapi, prawda? Nie chcesz, żeby ktokolwiek czuł się za ciebie odpowiedzialny?

- Po prostu mi przykro, że przeze mnie zrezygnowali z marzeń - skonstatowała smutno.

Stali naprzeciw siebie w półmroku schodów, spięci, wewnętrznie przyczajeni. Po smagłej, nieprzeniknionej twarzy Trevora błąkały się długie cienie. Przypominał nieposkromionego bohatera że średniowiecznej powieści, kiedy tak górował nad Kylą - postawny, wysmukły, nieporuszony.

Zadrżała.

- Odprowadzę cię do drzwi - wyrzuciła z siebie ostatkiem tchu i odwróciła się.

Zrobiła jeden krok i poczuła, jak ruchliwe palce wsuwają się jej we włosy. Wydała z siebie zdławiony, bezsilny jęlc Palce nieustępliwie oplatały długie pasmo, zamknęły się wokół niego i powoli, nieubłaganie, lecz delikatnie ciągnęły do tyłu.

Męskie ramię objęło Kylę w pasie, porwało raptownie, uniosło do góry i przygarnęło. Wargi poszukały jej ust i przylgnęły do nich zachłannie. Nadaremnie próbowała rozluźnić uścisk, odepchnąć muskularne ciało i uwolnić się. Wpółomdlałe serce tłukło się w jej piersi. Nic już nie wiedziała - był tylko szorstki dotyk wąsów i twarde, nieubłagane, oszalałe z podniecenia wargi.

- Nie, Trevor, proszę-szepnęła.
- Pocałuj mnie.
- Nie, nie mogę.
- Możesz!
- Nie, proszę!
- Czego się boisz?
- Nie boję się.
- Więc mnie pocałuj! Przecież chcesz tego!

Zagarnął znowu jej usta. Tym razem nie stawiała oporu. Rozchyliła uległe wargi. Przywarli do siebie w długiej, obezwładniającej, namiętnej pieszczocie.

Pożądliwie przesunął otwartymi ustami po jej szyi.

- Nie, nie.
- Nie wierzę, że cię całuję.
- Nie, proszę.
- I że ty mnie całujesz.
- Nie, to nieprawda.
- Ależ tak, skarbie, tak.

Obsypywał jej szyję i kark czułymi, słodkimi pocałunkami, łapczywie chwytał jej usta swoimi wargami.

- Och, twoja skóra, mój Boże, twoja skóra! - Wsunął palce za ramiączka sukienki i przytulił Kylę mocno, żarliwie.

Przywarła do niego całym ciałem. Nic już się nie liczyło. Zanurzyła dłonie w miękkie czarne kędziory. Dała

upust tajonym pragnieniom i rozpalone wargi poddały się niepohamowanej rozkoszy.

- Czy to możliwe, że mnie pragniesz?
- Trevor...
- Ja bardzo cię pragnę.

Odepchnęła go, spanikowana.

- Nie, nie myśl, że…

Ujął jej twarz w dłonie.

- Nie chodzi mi o seks, Kyla. Chcę czegoś więcej. Wiem, że to stało się tak nagle, ale kocham cię.

Huntsville, Alabama

Nowy dom kupili w piątą rocznicę ślubu. To był dzień przeprowadzki i właśnie się pakowali. W pokojach panował nieopisany rozgardiasz. Wszędzie piętrzyły się sterty pudeł.

- Jak my się z tym wszystkim zabierzemy? Uprzątnąłeś strych?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, żona postanowiła sprawdzić, co tak bardzo zajęło uwagę męża. Ślęczał nad stosem fotografii.

- Co to jest, kochanie?
- Hm? A, to zdjęcia, które zrobiłem w Kairze.

Stanęła za nim i zarzuciła mu ręce na szyję, zerkając zza jego ramienia na fotografie.

- Dreszcz mnie przechodzi, kiedy pomyślę, że mogłam cię stracić. Na ile dni przed zamachem wyjechałeś na urlop?
- Na trzy - odparł ponuro.
- Kto to jest, ten obok ciebie? - spytała, przyglądając się fotografii, którą trzymał w ręku.

- Ten po prawej to był Richard Stroud.
- Był?
- Zginaj w zamachu.
- A ten drugi?
- Ten przystojniak - uśmiechnął się mąż - to Trevor Rule. Pochodzi ze znakomitej filadelfijskiej rodziny. Absolwent Harvardu. Szatan nie facet. Pies na dziewczyny. Nazywaliśmy go Buźka. Miał harem, jakiego nie powstydziłby się sam sułtan.

Roześmiała się.

- Przeżył?
- Tak, ale był ciężko ranny. Nie wiem, co potem się z nim stało.
- Czy Stroud miał żonę?
- Tak. Dlaczego pytasz?
- Jeśli nie jesteś przywiązany do tego zdjęcia, może poślesz je wdowie? Ucieszyłaby się. Wyglądacie na nim tak pogodnie i beztrosko.
- Buźka opowiadał nam wtedy jeden ze swoich pieprznych dowcipów. - Odchylił głowę i ucałował żonę. - To niezły pomysł. Wyślę je wdowie po Stroudzie. Jeśli znajdę jej adres.

Umieścił fotografię w pudełku na pamiątki, które zabierali ze sobą do nowego domu.

ROZDZIAŁ 7

Wiem , że to stało się tak nagłe, ale kocham cię". To banalne słówko „nagle" w niczym nie łagodziło druzgocącej treści owego wyznania. Następnego ranka Kyla wciąż nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia.

Dziękowała Bogu, że rodzice pojawili się w samą porę, tuż po wstrząsającym oświadczeniu Trevora. Sparaliżowana tak niespodziewanym obrotem sprawy, z trudem wykrztusiła słowa wyjaśnienia, że dopiero co wrócili, właśnie położyli Aarona spać, a rodzice, nie, skąd, w niczym nie przeszkodzili. Trevor wymienił z Powersami kilka uprzejmych uwag, niemal nie odrywając od Kyli rozjarzonego wzroku. Pospiesznie odprowadziła go do drzwi, unikając owego palącego spojrzenia, i rzuciła mu zdawkowe „Dobranoc", zanim Clif i Meg zdążyli udać się na górę i zostawić ich znowu sam na sam. Solennie przyrzekła sobie w tym momencie, że nigdy więcej go nie zobaczy.

W świetle dnia, z ognistym żarem pocałunku w sercu, powtarzała obietnicę: ,,Nigdy więcej go nie zobaczę".

Okazało się jednak, że to nie takie proste. Trevor zadzwonił, kiedy zabierała się za śniadanie.

- Kyla, wybacz, że dzwonię tak wcześnie, ale muszę z tobą pomówić. Wczoraj...

- Nie mogę teraz rozmawiać, Trevor. Karmię Aarona i za chwilę kuchnia zamieni się w pobojowisko.

- Zjesz ze mną lunch? Ty i Aaron?

- Dziękuję, ale nie mogę. Mamy z tatą inne plany. Chcemy odmalować starą huśtawkę.

- Chętnie wam pomogę.

- Nie, nie. Nie wiem jeszcze dokładnie, o której się za to zabierzemy. Nie chcę psuć ci całego dnia.

- Nie popsujesz mi dnia. Chciałbym...

- Muszę iść, Trevor. Do widzenia.

Mimo tej nie zachęcającej rozmowy, przyszedł po południu. Wymówiła się bólem głowy i nawet nie zeszła się przywitać. Rodzice odnieśli się do jej postępowania z wyraźną dezaprobatą, powstrzymali się jednak od głośnych komentarzy.

Babs nie miała podobnych skrupułów w ocenie postępowania Kyli. Ta ignorowała obraźliwe spojrzenia i wymowne pochrząkiwania przyjaciółki. Dopiero pod koniec tygodnia stała się rozmowniejsza i kiedy w kwiaciarni nie było klientów, doszło między przyjaciółkami do starcia.

- Facet dzwonił po kilka razy dziennie przez cały tydzień.

- To jego problem.

- Nie tylko jego, mój też. Za każdym razem musiałam coś zmyślać, ani razu nie chciałaś podejść do telefonu.

- Z twoją wybujałą wyobraźnią, Babs, znajdziesz na pewno jeszcze wiele rozmaitych usprawiedliwień. Jeśli znowu zadzwoni.

- Jasne, że zadzwoni. Nie jest takim tchórzem jak ty.

- Nie jestem tchórzem - oburzyła się Kyla.

- Tak? To dlaczego go unikasz? Co zrobił ci ten nikczemnik, chciał cię potrzymać za rączkę?

- Daruj sobie ten sarkazm.

- Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

- Nie.

- Odnoszę wrażenie, że doszło do czegoś więcej niż niewinny uścisk dłoni.

Kyla odwróciła głowę, by ukryć rumieniec, który oblał jej policzki.

- Ponosi cię fantazja.

- Gdyby było inaczej, nie chowałabyś się przed nim. Gdyby między wami do niczego nie doszło, śmiałabyś się z jego wytrwałych zabiegów.

- To wcale nie jest zabawne.

- W tym rzecz. To cholernie poważna sprawa.

- Nieprawda!

W tym momencie na scenę wkroczył bohater ich słownej potyczki. Dzwonek przy wejściowych drzwiach zadźwięczał melodyjnie. Obie jednocześnie odwróciły głowy w jego stronę. Lecz Trevor Rule patrzał tylko na tę, która raptownie pobladła, nerwowo oblizywała górną wargę, a dłonie splotła za sobą, by ukryć ich mimowolne drżenie.

- Wybaczcie - rzuciła Babs i wymknęła się przez wahadłowe drzwi, mrucząc pod nosem coś na temat Mahometa i góry.

Kyla nie odrywała wzroku od podłogi, wmawiając sobie, że Trevor wpadł zamówić kwiaty albo porozmawiać o wszystkim i o niczym. Już na wstępie rozwiał te żałosne złudzenia.

- Dlaczego mnie unikasz?

Dobrze, skoro tak, nie będzie niczego owijać w baweł-

nę. Powie mu bez ogródek, co o tym wszystkim sądzi. Dumnie podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- A jak ci się zdaje?
- Z powodu tego, co wyznałem w piątek?
- Domyślny jesteś.
- Obraziłem cię?
- Miłość to nie piłeczka, którą sobie można podrzucać i żonglować nią jak w cyrku.
- Mówiłem serio. Zapewniam cię.
- Trudno w to uwierzyć.
- Dlaczego?
- Jak to dlaczego? Widzieliśmy się zaledwie cztery razy, a ty wyznajesz mi miłość.
- Liczyłaś? - Białe zęby błysnęły w leniwym uśmiechu.
- Tylko dlatego, że to, co powiedziałeś, było tak absurdalne. - Niech licho porwie ten zwodniczy uśmiech, zuchwałe spojrzenie i jej żołądek, który wyprawiał brewerie.
- Każdemu może się przytrafić.
- Nie mnie.
- Ale mnie się przytrafiło. Zakochałem się w tobie, Kyla.

Odwróciła się gwałtownie i wpiła w ladę zesztywniałe palce, szukając w niej oparcia.

- Nie mów tak! Proszę.

Kyla instynktownie odgadła jego bliskość tuż za plecami; pod dotykiem muskularnego ramienia poczuła ciepło rozchodzące się po krzyżu, niczym liźnięcie słonecznych promieni o poranku.

- Czego się obawiasz, Kyla?
- Niczego.
- Mnie?

- Nie.
- Boisz się własnych uczuć?
- Niczego nie odczuwam.
- A jednak coś odczuwasz. - Odgarnął jej włosy i gładził palcami kark. - Oddałaś mi pocałunek.

Zwiesiła głowę tak nisko, że niemal dotykała podbródkiem piersi.

- To nie miało żadnego znaczenia.
- Naprawdę?
- Po prostu dawno się z nikim nie całowałam.
- Podobało ci się?
- Tak... Nie! Proszę cię, Trevor, nie mogę o tym z tobą rozmawiać.
- To było cudowne, Kyla. I właściwe.

Odwróciła się twarzą do niego, unieruchomiona między nim a ladą.

- Nie, to nie było właściwe - zaprzeczyła z naciskiem.
- Dlaczego?
- Dlatego, że kocham swojego męża.
- Ale on nie żyje!
- Żyje we mnie, tutaj! - wykrzyknęła rozjątrzona, kładąc dłoń na sercu. - Nigdy nie pozwolę mu umrzeć.
- To szaleństwo. To nienormalne!
- Nic ci do tego, panie Rule!

Odsunęła go na bok i odeszła kilka kroków. Obejrzała się, rozdygotana, zagniewana, wzburzona.

- Niczym cię nie zachęcałam. Przy drugim spotkaniu uczciwie uprzedziłam, że nie w głowie mi przelotne miłostki. Przeżyłam wspaniałą miłość swojego życia, której nigdy się nie wyrzeknę. Nic nie dorówna temu uczuciu, a nigdy nie zadowolę się żadną namiastką. - Wierzchem dłoni niecierpliwie otarła łzy. - Mimo że postawiłam spra-

wę jasno, nie dajesz za wygraną. Nic na to nie poradzę, że w swoim zadufaniu ubzdurałeś sobie, że mnie kochasz. Musisz to sobie wybić z głowy. Nie chcę cię więcej widzieć, Trevor. A teraz, proszę, daj mi święty spokój.

Wargi Trevora ściągnęły się w wąską, nieprzejednaną linię, a dłonie zacisnęły się w pięści. Kyla nie była pewna, czy zamierza ją uderzyć, czy pocałować. Nie wiedziała, czego obawiać się bardziej. W końcu obrócił się na pięcie i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Dzwonek rozdźwięczał się alarmująco. Kyla zatoczyła się na ladę, skołowana i kompletnie wyczerpana, czując dojmujący ból głowy. Po dłuższej chwili odzyskała panowanie nad sobą. W progu stała Babs ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i miną kwaśną jak ocet.

- Ani słowa - ostrzegła Kyla.

- Ani mi się śni - prychnęła Babs lekceważąco. - No, no, wygłosiłaś błyskotliwą mowę, to zamyka sprawę. Inny pewnie by podkulił ogon i czmychnął, gdzie pieprz rośnie. Nie licz na to, że właśnie tak postąpi nasz nieustraszony pan Rule. Z nim nie pójdzie ci tak łatwo.

- A niech to szlag!

Trevor, nie kontrolując swych odruchów, z całej siły wcisnął pedał hamulca, kiedy pikap z piskiem skręcał w żwirową drogę. Spod kół trysnęła fontanna drobnych kamyków, a skłębiona chmura kurzu znaczyła trasę auta. Trevor zatrzymał samochód i oparł czoło na kierownicy.

- A czego się spodziewałeś? - spytał sam siebie oskarżycielskim tonem.

Czy naprawdę sądził, że uda mu się gładko wślizgnąć w jej życie, a ona rzuci mu się w ramiona? Że wskoczy mu od razu do łóżka? Zdał sobie sprawę, że tego właśnie podświadomie oczekiwał. Bowiem synowi George'a Ru-

le'a wszystko przychodziło łatwo: osiągnięcia sportowe, studia, popularność, kobiety. Życie Trevora przypominało nieustający bankiet, a sukcesy przynoszono mu na srebrnej tacy. Zawsze robił to, co chciał. Skutecznie udaremnił nawet plany ojca. Z wyjątkiem epizodu kairskiego, wiódł rajskie, beztroskie życie usłane różami. Lecz nawet tam, w Kairze, szczęście go nie opuściło. Co prawda, nie wyszedł z zamachu bez szwanku, lecz - w przeciwieństwie do innych - przeżył.

Odmowa Kyli stanowiła gorzką pigułkę dla zepsutego playboya, który nie przywykł do niepowodzeń. Ogarnęła go nagle dręcząca pustka. Czyżby los odmawiał mu tej jedynej rzeczy, na której mu naprawdę zależało? Czyżby bogowie postanowili z niego zakpić i ukarać za to, że raz chciał postąpić honorowo? Ałe przecież w stosunku do Kyli nie honor czy obowiązek kierowały jego uczynkami. Kierowała nim miłość, autentyczna i dojrzała. Słowa pisane na taniej papeterii, które wypełniły szpitalną samotność, uśmierzyły cierpienie, stanowiły oparcie w najtrudniejszych momentach i w końcu przybrały realny kształt w postaci kobiety, którą pokochał.

I która ciągle kocha męża, przypomniał sobie ponuro.

Richard Stroud był wspaniałym kumplem. Teraz stał się jeszcze wspanialszym duchem. Duchom daruje się przywary, a pamięta jedynie ich cnoty. Może powinien zrezygnować? Daj sobie spokój, chłopie. Ona cię nie chce, powiedział sobie w duchu. Wtem przypomniał sobie namiętny żar jej pocałunku, słodki smak warg, odurzający zapach włosów, jedwabistą gładkość skóry.

Nie zrezygnuje!

- Jeszcze nie - potwierdził na głos i stanowczym, władczym ruchem włączył silnik.

Da jej trochę czasu. Pozwoli odetchnąć i pozbierać myśli. Tymczasem zajmie się licznymi obowiązkami, bo zajęć mu nie brakowało, a i należało odrobić zaległości. A w nocy, samotny w łóżku, boleśnie tęskniąc za nią, ukoi pragnienia, czytając listy. Będzie miał wrażenie, jak gdyby ona sama szeptała mu w ciemności najskrytsze tajemnice.

- Co to jest, tato? - spytała Kyla, wchodząc do kuchni.
- To? A nie, nic, nic - odparł Clif Powers, naprędce zgarniając rozrzucone na stole papiery.
- Jak to nic? - Jej uwagi nie umknął pośpiech, z jakim ojciec usuwał z widoku dokumenty, ani znaczące spojrzenia, jakie wymienili między sobą rodzice. Mieli skruszone miny, podobnie jak Aaron, kiedy przyłapała go na wyrywaniu jej ulubionego bluszczu.
- No dobrze. Mówcie, o co chodzi.
- Może napijesz się czegoś zimnego? - zaproponowała Meg.
- Nie chce mi się pić. Chcę wiedzieć, co tak skrzętnie staracie się ukryć.
- Chyba trzeba jej powiedzieć - rzekł Clif.
- Zamieniam się w słuch. - Kyla usiadła naprzeciwko ojca, opierając łokcie na laminowanym blacie kuchennego stołu.
- Rada miejska postanowiła przeznaczyć tę ulicę na cele komercyjne. Zaprotestowaliśmy, mama i ja, ale jako jedyni z okolicznych właścicieli. Wczoraj wieczorem rada podjęła uchwałę w tej sprawie.

Kyla rozważała, co ta decyzja oznacza dla rodziców.

- Dlaczego się nie zgodziliście? Przecież to podniesie wartość działki.

- No tak, kochanie, ale nie chcemy wyprowadzać się z naszego domu - wyjaśniła Meg. - Zostawili nam trochę czasu do namysłu, więc...

- Nie chcecie sprzedać domu ze względu na mnie i Aarona - przerwała Kyla, uświadamiając sobie prawdziwy powód ukrywania tak doniosłego faktu w tajemnicy. - Mówiłam wam wielokrotnie, że sobie poradzimy.

- Wiem, ale nie chcieliśmy podejmować decyzji za twoimi plecami.

- Wygląda na to, że rada podjęła ją za was. Cieszę się. Sprzedacie dom, kupicie samochód kempingowy i udacie się w piękną podróż.

- A ty i Aaron...

- Jestem dorosła, mamo. Znajdziemy dom odpowiedni dla nas dwojga.

- Obiecaliśmy po śmierci Richarda, że cię nie zostawimy - opierał się Clif.

Kyla przykryła ręką jego dłoń.

- Doceniam waszą troskę, tato. Jesteście naprawdę nadzwyczajni. Macie jednak własne życie. Nie chcę być dla was ciężarem. Dostaliście ofertę kupna? - Zerknęła na plik dokumentów.

- No cóż, tak. Mamy jednak osiemnaście miesięcy na opuszczenie domu. Nie musimy więc pochopnie przyjmować pierwszej lepszej propozycji.

- Kto wie, co się wydarzy przez osiemnaście miesięcy. Korzystna okazja może się nie powtórzyć. Jeśli oferta jest uczciwa, radziłabym ją przyjąć.

- Nie. - Meg uparcie potrząsnęła głową - Obiecaliśmy opiekować się tobą.

- Ależ mamo...

- Póki nie znajdziesz dla siebie mieszkania, nie wypro-

wadzę się stąd. Ani słowa więcej, młoda damo - stwierdziła Meg kategorycznie, zamykając dyskusję. - Chcesz coś zimnego do picia?

Kylę zmartwił tak nieprzejednany opór rodziców. Sprzedaż domu zabezpieczyłaby ich finansowo na wiele lat. Powinni skorzystać z nadarzającej się sposobności i póki starcza im sił i ochoty, cieszyć się urokami życia.

Mieli jednak na względzie wyłącznie jej dobro i bezpieczeństwo. Ich poświęcenie wzbudzało w niej poczucie winy. Oczywiście, będzie za nimi tęskniła. Smutno jej będzie patrzeć, jak burzą rodzinny dom i stawiają biurowce i magazyny. No cóż, dorastanie jest zazwyczaj bolesne. Nadeszła pora, by się usamodzielnić, i musi o tym przekonać rodziców. Znużona przymknęła powieki.

I w tym momencie stało się.

Stanęła jej przed oczami postać Trevora Rule'a, który prześladował ją co noc. Pojawiał się niespodziewanie, mącił jej umysł, wdzierał się bezlitośnie w niespokojne, obsesyjne, nie dające wypoczynku sny. Minął miesiąc od przykrej sceny w kwiaciarni. Ze wszystkich sił pragnęła wymazać z pamięci widok gniewnej twarzy Trevora. Pewnego dnia doszło do przypadkowego spotkania.

Miały dostarczyć z Babs ogromny bukiet do centrum miasta. Clif podjął się pilnowania sklepu na czas ich nieobecności.

-. Spójrz! - Babs szarpnęła Kylę za rękę.

- Co takiego?

- Tam, naprzeciwko. O rany!

Kyla przyłożyła do czoła mokrą od ociekających wodą chryzantem dłoń, osłaniając oczy przed blaskiem palącego słońca i podążyła wzrokiem w kierunku wskazanym przez Babs. Trevor Rule wrzucał worek cementu na platformę

pikapa, zaparkowanego przed sklepem po drugiej stronie ulicy. Poruszał się ze sprężystym wdziękiem olimpijskiego dyskobola.

Babs aż cmoknęła z wrażenia.

- A niech mnie, ale bombowy facet!

- Przestań...

- Hej, Trevor! - zawołała Babs.

Kyla, wściekła i urażona, wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwiczki z opuszczoną szybą.

- Zamorduję cię - wycedziła.

- Prędzej ja zamorduję ciebie, jeżeli będziesz zachowywać się jak ostatnia idiotka - odparowała Babs.

Trevor spostrzegł przyjaciółki i pomachał im z daleka. Zatrzymał się na moment, by przepuścić nie kończący się sznur aut. Zdjął na chwilę kowbojski kapelusz, wciśnięty zawadiacko na głowę i otarł rękawem spocone czoło. Po czym puścił się slalomem między samochodami.

- Cześć. - Ogorzałą szyję Trevora osłaniała zrolowana biała bandanka. Biel nęcąco podkreślała śniadą karnację. Podwinięte rękawy ciasno opinały naprężone muskuły. Rozpięte poły niebieskiej koszuli odsłaniały szeroki, opalony tors, pokryty ciemnymi skręconymi włoskami i przecięty blizną, która znikała pod lewą pachą. Sprane dżinsy uwydatniały długie, umięśnione nogi. Grube, skórzane rękawice okrywały dłonie powyżej nadgarstków. Szeroki pas na narzędzia okalał wąskie biodra. - Co was tu przygnało? Gorąco jak diabli.

Babs roześmiała się.

- O, zaczęłeś wyrażać się jak prawdziwy Teksańczyk. Prawda?

Kyla zastygła w pozie drewnianego manekina.

- Tak, prawda.

Trevor oparł się swobodnie o dach auta, pochylony ku niej. Owłosiony, pokryty kroplami potu tors zbliżył się niebezpiecznie.

- Jak się miewasz?
- Dobrze. A ty?
- W porządku. A jak Aaron?
- Doskonale.
- No to świetnie.
- Zdaje się, że nieludzko tyrasz - wtrąciła się Babs.

Kyla usłyszała nutę irytacji w głosie przyjaciółki. Najwidoczniej Babs nie była zachwycona tą zdawkową wymianą zdań. I bardzo dobrze! Przywołała Trevora, niech więc teraz podtrzymuje rozmowę.

Trevor wyprostował się. Zamiast jednak uwolnić Kylę od fascynującego widoku swojego atletycznie sklepionego torsu, stanął wprost na linii jej wzroku, narażając na niemiłosierną udrękę.

- Czyż nie tak, moja droga?

Kyla aż podskoczyła, jak przyłapana na gorącym uczynku.

- Co takiego?
- Obiecałam Trevorowi, że jak skończy dom, pojedziemy go obejrzeć.
- O, tak, bardzo chętnie - zgodziła się półprzytomna. Nie patrz na niego. Patrz w dal, na parkometr, na cokolwiek, tylko nie na niego, upomniała się w duchu. Pot spływał z niej strumieniami nie tylko z winy letniego skwaru. Modliła się, żeby Babs już wsiadła i żeby mogły odjechać.

Trevor pożegnał się pierwszy.

- Muszę lecieć. Czeka na mnie betoniarz. Miło było was spotkać.

- No to na razie, Trevor - rzuciła Babs.
- Do widzenia - powiedziała Kyla.

Od tamtego spotkania Kyla co noc bezskutecznie zmagała się z bezsennością. Przewrotna wyobraźnia wciąż przywoływała postać pociągającego, postawnego mężczyzny. Wzdychała z rezygnacją i przekręcała się na drugi bok, mając nadzieję, że sen nadejdzie.

Obudziła się w fatalnym nastroju.

Nie poprawił go dzwonek telefonu podczas śniadania.

- Cześć, tu Trevor.

Rzuciła rodzicom spłoszone spojrzenie. Kiedy kilka dni temu nieopatrznie zapytali, dlaczego Trevor przestał przychodzić, zbyła ich lakonicznym wyjaśnieniem: „Mówiłam wam, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Pewnie znalazł sobie dziewczynę". Nie chcąc teraz ujawniać tożsamości rozmówcy, odparła krótkim:

- Cześć.
- Skończyłem.
- Co?
- Dom.
- O, gratuluję.
- Dzięki. Chciałabyś obejrzeć?

Rodzice wpatrywali się w Kylę zaintrygowani.

- Kto dzwoni? - zagadnęła Meg.

Kyla udała, że nie dosłyszała.

- Nie wiem, czy będę mogła - wzbraniała się wykrętnie.
- Obiecałaś - przypomniał.
- Tak, ale jestem bardzo zajęta.
- Chcę, żebyś mi doradziła w sprawie wystroju wnętrza, nim wystawię dom na sprzedaż.

- Nie czuję się kompetentna w takich sprawach.
- Ale jesteś kobietą, czyż nie?

O tak! Gdyby było inaczej, jej serce nie tłukłoby się jak obłąkane, zwilgotniałe raptownie dłonie nie drżałyby bezsilnie, a piersi nie wezbrałyby bolesnym napięciem.

- Nic nie wiem o wystroju wnętrz.
- Mimo to wybierz się ze mną.
- Kiedy?
- Dziś po południu.
- Dzisiaj pracuję. - W soboty pracowały z Babs na zmianę.
- Po pracy. Przyjadę po ciebie po zamknięciu kwiaciarni.

Kyla zastanawiała się w panice, czy powinna posłużyć się Aaronem jako pretekstem. Natychmiast zaproponowałby, żeby zabrała chłopca ze sobą. Rodzice z zapartym tchem łowili każde jej słowo, toteż nimi również nie mogła się wymówić.

Po co tak się stara, żeby go nie urazić? Skoro oznajmiła mu dobitnie, że nie chce go więcej widzieć, dlaczego po prostu nie odprawi go z kwitkiem i nie zakończy sprawy raz na zawsze?

Nie chciała jednak zachować się grubiańsko. Trevorowi zależało na tym domu, wkładał w jego budowę tyle serca. Być może ważyła się jego przyszła kariera i sukces na rynku budowlanym. Potrzebował rady osoby, w której intuicję wierzył.

- Dobrze więc, do zobaczenia o szóstej.
- Znakomicie.

Miała mnóstwo zajęć tego dnia, lecz mimo to czas dłużył się niemiłosiernie. Czuła dziwną czczość w żołądku. Strach? Oczekiwanie? Wolała nie dociekać przyczyn

owych irytujących sensacji. Punktualnie o osiemnastej Trevor zjawił się w kwiaciarni. W sportowej koszuli i spodniach wyglądał wprost zniewalająco. Pachniał świeżością jak człowiek, który właśnie wykąpał się i ogolił. Czarny wilgotny kosmyk wił się na jego czole.

- Sprzedałaś wszystkie kwiaty?

Roześmiała się z ulgą. Traktował to spotkanie po przyjacielsku, bez jakichkolwiek ukrytych znaczeń.

- Zostało tylko kilka.
- Gotowa?
- Zabiorę torebkę i pogaszę światła.

Zajęło jej to niespełna minutę. Poczekał, aż pozamykała frontowe drzwi, po czym ujął ją pod łokieć uprzejmym gestem i pomógł wsiąść do samochodu. Jak dotychczas, wszystko przebiegało jak należy.

Po drodze gawędzili niezobowiązująco. Dopytywał się o zdrowie rodziców, ona zapewniła, że czują się dobrze. Potem opowiedziała mu o najnowszych wyczynach Aarona. Nie wspomnieli ani słowem o przykrym incydencie sprzed miesiąca.

- O mój Boże! - wykrzyknęła z uniesieniem, kiedy dom wychynął zza drzew. - Nie wierzę własnym oczom!

Trevor zatrzymał samochód na zakręcie podjazdu obsadzonego dwoma rzędami bukszpanów. Zachwycona i oszołomiona wyskoczyła z auta, omiatając dom roziskrzonym wzrokiem.

- Witrażowe okna na froncie, jakie piękne!
- Chodź do środka - zachęcał uradowany.

Wstępowała w progi domu niczym w magiczny, bajkowy świat z kart „Przeglądu Architektonicznego". Wymuskany, elegancki, nowoczesny dom utrzymano w stylu wyszukanej prostoty. Emanował atmosferą prywatno-

ści i gustownego komfortu. Pieczołowicie zadbano o najdrobniejsze szczegóły. Przesycone światłem pokoje, choć przestronne, przyciągały ciepłą aurą przytulnej intymności.

Kyla wydała z siebie radosny okrzyk, kiedy weszła do przeszklonej, przepojonej słonecznym blaskiem kuchni z aneksem jadalnym. Naocznie mogła przekonać się, jak uroczo sprawdzała się w praktyce jej wizja.

- Doskonały, przepiękny, cudowny! - nie posiadała się z zachwytu.
- Naprawdę ci się podoba?
- Jest wspaniały!
- Chodź, pokażę ci ogród.

Czerwonawy podest z miękkiego drewna kalifornijskiej sekwoi oddzielał trawnik od domu. Wybujałe, równiutko przycięte kępy żółtych i czerwonych rododendronów wkomponowano harmonijnie w luki między drzewami. Na tarasie rozstawiono skrzynki z różnobarwnymi kwiatami. Pośrodku trawnika szemrało wabiąco źródełko, otulone pióropuszami dorodnych paproci. W oddali poprzez liście drzew migotała srebrzyście kręta wstążka potoku.

- Wierzyć mi sie nie chce, Trevor. Dokonałeś cudu. Jest przepięknie. Jestem pewna, że nie będziesz miał jakichkolwiek kłopotów ze sprzedażą tego domu.

Zamknął jej dłonie w swoich i, zbitą z tropu, odwrócił do siebie. Dotychczas nie dotknął jej ani razu, oprowadzał ją po pokojach z żartobliwą dumą, okazując radosny entuzjazm niczym dziesięciolatek ucieszony nowym rowerem. Teraz wpatrywał się w nią z żarliwością, od której zrobiło się jej gorąco.

- Trzymałem się z daleka, tak jak sobie życzyłaś.
- Tak jest najlepiej.

- Co nie oznacza, że mi to odpowiada i że o tobie nie myślę. Wprost przeciwnie. Myślę o tobie bezustannie.
- Trevor, proszę, nie spierajmy się.
- Nie mam takiego zamiaru.
- Więc nie mów nic więcej.
- Pozwól mi skończyć. - Nie napotkawszy protestu, ciągnął: - Wiesz, co do ciebie czuję, prawda?
- Powiedziałeś, że… że…
- Że cię kocham. Tak właśnie czuję, Kyla.
- Proszę, nie naciskaj na mnie. Ja nie mogę…
- Czego nie możesz?
- Nie mogę wdawać się w miłostki.
- Wiem. Dlatego proszę cię, żebyś została moją żoną.

ROZDZIAŁ 8

Czarne wąsy uniosły się leciutko nad kącikami ust.

- Zaskoczyłem cię, co? - Trevor podprowadził Kylę do staromodnej, bujanej ławeczki, podobnej do tej, na której lubiła przesiadywać na werandzie domu rodziców.

Była zbyt oszołomiona propozycją małżeństwa, by zwracać uwagę na cokolwiek. Innym razem wyraziłaby swoje uznanie. Teraz osłupienie odebrało jej mowę. Usiedli obok siebie, cisi i nieruchomi. Cykady rozpoczęły swój wieczorny koncert. Przez głowę Kyli przelatywały chaotyczne strzępki zdań, których nie potrafiła ułożyć w jakąkolwiek sensowną całość.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Zgódź się.

- Trevor, skąd ci przyszło do głowy, że chcę wyjść za mąż?

- Wiem, że nie jesteś do wzięcia. Wielokrotnie dawałaś mi to do zrozumienia.

- Dlaczego więc prosisz mnie o rękę?

- Ponieważ cię kocham i chcę zostać twoim mężem. Chcę się opiekować tobą i Aaronem i być dla niego ojcem.

- Ależ to szaleństwo!
- Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Bo dobrze wiesz, że cię nie kocham.

Uważnie studiował swoje dłonie, jak gdyby zobaczył je po raz pierwszy.

- Tak, wiem. Ciągle jesteś zakochana w Richardzie.

Poczuła się w obowiązku go pocieszyć. Nieśmiało dotknęła jego kolana.

- Masz nadzieję, że to się odmieni? Że miłość przyjdzie z czasem?
- Anie?
- Nigdy nie pokocham innego mężczyzny tak, jak kochałam Richarda.
- Mimo to pragnę cię.
- Nie powinieneś marnować sobie życia. Jak możesz ożenić się z kobietą, która cię nie kocha?
- Zostaw to mnie. Wyjdziesz za mnie?
- Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, Trevor.
- Dzięki. - Swoją wdzięczność wyraził szerokim uśmiechem.
- Chciałam powiedzieć - w głosie Kyli zabrzmiała nutka irytacji - że za pół roku, za tydzień, a kto wie, może nawet jutro, spotkasz kobietę, która obdarzy cię miłością.
- Nie wybieram się na poszukiwania.
- Powinieneś.
- Posłuchaj - tłumaczył cierpliwie - mam w nosie inne kobiety. Znalazłem tę, której chcę dać swoje nazwisko.
- Ależ mnie prawie nie znasz!

Znam cię na wylot, odparł w duchu Trevor. Wiem, że uwielbiasz rozległe przestrzenie, witrażowe okna i domy tonące w gęstwinie drzew. Wiem, że w dziesiątej klasie chodziłaś z pewnym gogusiem, niejakim Davidem Taylo-

rem, który złamał ci serce. Wiem, że pod prawą pachą masz znamię, że wstydzisz się swoich piersi, bo uważasz, że są za małe. Ja natomiast uważam, że są cudowne, i nie mogę już dłużej czekać. Chcę je oglądać, całować, pieścić. Trevor poruszył się niespokojnie i powiedział:

- Nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia, póki nie zobaczyłem cię tamtego dnia na promenadzie. Byłaś piękna. Nie jesteś pierwszą lepszą ślicznotką, która wpadła mi w oko. To coś więcej. Ujął mnie sposób, w jaki odnosiłaś się do synka, czułość, jaką mu okazywałaś. Gdyby Aaron nie wpadł do fontanny, musiałbym coś wykombinować, żeby cię poznać. - Przysunął się nieco bliżej. - Kyla, wyjdź za mnie. Zamieszkaj ze mną tu, w tym domu.

- Tutaj? Budowałeś ten dom z myślą o nas?

To zdziwienie sprawiło mu przyjemność.

- Nie posądzaj mnie przypadkiem o małostkowość.

- To piękny dom, Trevor. Mamy bardzo zbliżone upodobania. Ale to nie jest wystarczający powód, żeby brać ślub.

- Teraz to jest tylko piękny budynek. Chcę, żeby stał się naszym domem.

- To nie ma sensu.

- To ma ogromny sens. Chcę mieć rodzinę, wziąć na siebie odpowiedzialność za ciebie i Aarona.

Niespodziewana myśl poraziła ją z prędkością meteorytu. Dlaczego mężczyzna o aparycji Trevora, który mógłby podbić serce dowolnie wybranej kobiety, ubiega się o rękę wdowy z dzieckiem? To oczywiste! Te blizny, niewidoczne pod ubraniem, kalectwo... Żona, która go nie kocha, nie będzie wymagała fizycznego współżycia. Trevor zabiegał więc o małżeństwo z rozsądku!

- Trevor... - zawahała się. - Czy... kiedy zostałeś ranny...

- Tak?
- Czy...
- Czy co?
- To znaczy... Czy ty…
- Na Boga, wykrztuś to z siebie wreszcie.

Wzięła głęboki oddech.

- Czy jesteś zdolny do fizycznego zbliżenia? - Niemal skurczyła się ze wstydu, a w gardle utkwiła jej ogromna gruda.
- Całowałaś mnie, prawda? - odparł głębokim, drgającym głosem.
- Tak.
- Trzymałem cię w ramionach.
- Tak.
- Byliśmy blisko.
- Tak.

Nie doczekawszy się jakiejkolwiek reakcji, dodał:

- No więc? Jakie wyciągnęłaś wnioski?
- Pomyślałam sobie, że… ponieważ jestem wdową z dzieckiem, a skoro... miałeś wypadek... może nie…
- Nie tylko jestem zdolny do współżycia, ale pożądam cię jak wszyscy diabli - skandował słowa, akcentując dobitnie każde z nich. -I żeby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, to małżeństwo będzie uwzględniać wszelkie aspekty wspólnego pożycia. Chcę być twoim mężem w pełnym znaczeniu tego słowa. Chcę się z tobą kochać, i to jak najczęściej. Czy to jasne?

Przygwożdżona zielonym spojrzeniem, zdobyła się jedynie na potakujące kiwnięcie głową. Przez chwilę trwali w napiętym milczeniu. Potem poczuła na ustach delikatne muśnięcie wąsów, we włosach skradające się pieszczotliwie palce - i przymknęła oczy.

Szkoda marnotrawić takie pocałunki, pomyślała. Trwonić je dla kobiety, która nie odwzajemnia miłości. Jaka szkoda, że te usta - namiętnie zaborcze, a jednocześnie nieodparcie tkliwe - tak rozrzutnie szafują pieszczotami, zamiast obdarzyć nimi kobietę, która z równym uniesieniem odwzajemniłaby ową niepohamowaną pasję. Świat zawirował jej przed oczami. Zarzuciła mu ramiona na szyję, szukając ochrony przed tym gwałtownym wirem.

Trevor oplótł ramieniem jej kibić i przygarnął do siebie z cichym, gardłowym pomrukiem. Myśl o marnowanych pocałunkach kołatała w zakamarkach jej umysłu, kiedy łakomie smakowała pocałunek Trevora. I nie mogła już dłużej tłumić rozbudzonej namiętności; przywarła z całych sił do twardego torsu, dłonie masowały żarliwie barki Trevora, a język podjął szaleńczą, nieokiełznaną, miłosną grę-

Nagle zerwała się, odurzona, bez tchu.

- Muszę wracać - wyjąkała, ledwo utrzymując równowagę.

Trevor z trudem łapał oddech.

- W porządku - przystał bez słowa sprzeciwu.

Puściła się pędem i poczekała na Trevora przy samochodzie. Z westchnieniem ulgi wślizgnęła się na siedzenie, nie dowierzając drżącym nogom. Trevor nie próbował nawiązywać rozmowy. Stracił rozum od letniego upału, pomyślała. Może tylko żartował? Może już teraz żałuje, że pochopnie złożył tak nieoczekiwaną propozycję?

Rozwiał jej złudzenia, kiedy zaparkował przed domem Powersów, zgasił silnik i położył ramię na oparciu siedzenia.

- Kyla? - odezwał się tonem, który wzburzył w niej

krew. Nie pozostawił wątpliwości, kiedy wargami uchwycił jej język, którym nerwowo zwilżała usta.

- Dalsza dyskusja na ten temat wydaje mi się bezprzedmiotowa. Nie mówiłeś tego poważnie.

- Kyla - odczekał, aż odwróci do niego twarz - mówiłem to jak najpoważniej. Czy mógłbym cię tak całować, gdybym nie traktował serio swoich uczuć?

- Tego nie wiem - odparła z nutką rozpaczy.

Zachichotał cichutko, rozbawiony.

- Całowałem w życiu wiele kobiet, ale żadnej z nich nie zaproponowałem małżeństwa. - Ujął jej dłoń i przycisnął do ust. - Wiem, że cię zaskoczyłem. Nie oczekuję odpowiedzi natychmiast. Obiecaj, że się zastanowisz. Ze przemyślisz, co nasze małżeństwo przyniesie tobie i Aaronowi. A także rodzicom. Prześpij się z tym.

Trevor Rule jest twardym zawodnikiem, pomyślała Kyla, zerkając po raz chyba setny na budzik na nocnym stoliku. Bezskutecznie próbowała uciszyć rozbudzone, niespokojne ciało. Nigdy wcześniej nie odbierała tak wielu zmysłowych sygnałów naraz. Nogi ocierały się, bezwiednie i pożądliwie, o zimne płócienne prześcieradło, jak gdyby tam chciały odnaleźć ukojenie. Koszula nocna natrętnie drażniła spragnione, stwardniałe sutki. Nieodparcie powracał obraz Trevora, uśmierzającego wilgotnymi wargami ową udrękę, której był sprawcą.

Wmawiała sobie, że te objawy fizycznego podniecenia nie mają najmniejszego związku z pocałunkami Trevora: Zapewne lada dzień dostanie okres i to wywołuje stan napięcia.

- Wcale nie jestem podniecona - powiedziała na głos dla większej pewności.

Niewiele to dało, ciało jawnie przeczyło rozumowi.

Złorzeczyła swojemu prześladowcy za obranie tak podstępnej taktyki. Wiedział, jaką czułą strunę poruszyć w jej sercu. Pozwolił sobie na dość przejrzystą aluzję, że jej odmowa będzie oznaką egoizmu. Zgoda, wcieli się w adwokata diabła. To małżeństwo przyniesie korzyść rodzicom. Zwolnieni z obowiązku opieki nad nią, będą mogli nareszcie swobodnie realizować własne plany. Obróci się też na korzyść Aarona. Dorastający chłopiec potrzebuje ojca. Dotychczas rolę tę spełniał Clif Powers. Lecz czy za kilka lat dziadkowi starczy sił i energii, by grać z wnukiem w piłkę, chodzić na ryby, jeździć na biwaki i wypełniać setki rozmaitych powinności przynależnych ojcu?

Ale przecież Aaron ma ojca! Jego ojcem jest nieżyjący Richard Stroud. Przyrzekła zachować go przy życiu dla syna i dotrzyma danego słowa! Ani urok Trevora, ani namiętne pocałunki nie odwiodą jej od tego zamysłu. Poza tym kobieta nie wychodzi za mąż, nawet za najatrakcyjniejszego mężczyznę tylko po to, by zadośćuczynić życzeniom i potrzebom innych, nawet bliskich osób. Niewątpliwie Trevor Rule jest niesłychanie atrakcyjnym mężczyzną i odpowiednim kandydatem na męża. Była pod wrażeniem obrotności, z jaką sobie poczynał w interesach. Dostał się na pierwsze strony lokalnych gazet. Zyskał renomę uczciwego, przyzwoitego biznesmena, obdarzonego ponadto otwartym umysłem, wizjonerską wyobraźnią, cenionego za nowatorskie koncepcje rozwoju miasta. Fizycznie...

O nie, lepiej nie myśleć o jego fizycznych walorach. Lepiej pozostać przy pragmatycznej kalkulacji, wyłączając z niej jakiekolwiek wpływy cielesnych doznań, które mogłyby zmącić ostrość widzenia i wypaczyć trzeźwy osąd.

Rozważania te zajęły jej całą noc. O świcie rozstrzygnęła dylemat. Znajdzie mieszkanie dla siebie i Aarona. Wyprowadzi się z domu rodziców, by nie blokować im szansy sprzedania domu i życia po swojemu. Małżeństwo z Trevorem nie jest konieczne. Finansowo była niezależna. Postara się, by Aaronowi zapewnić towarzystwo rówieśników oraz ich ojców. Nie potrzebuje do tego mężczyzny.

W zasadzie powinna podziękować Trevorowi za propozycję, która zdopingowała ją do podjęcia życiowej decyzji. Uchylała się od niej od śmierci Richarda. Postanowiła nie zwlekać z ogłoszeniem swojego postanowienia. Rano, kiedy rodzice szykowali się do kościoła, wybrała numer Trevora. Podniósł słuchawkę w połowie pierwszego dzwonka.

- Witaj. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.
- Nie, skąd.
- Zdecydowałam się. Ja…
- Zaraz tam będę.

Rozłączył się, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Niezadowolona odwiesiła słuchawkę. Łatwiej byłoby oznajmić mu tę decyzję przez telefon, unikając onieśmielającego stawania twarzą w twarz.

Zaprowadziła Aarona na trawnik i wyniosła mu plażową piłkę do zabawy. Niech ta scena rozegra się tutaj, przed domem, bez wiedzy i udziału rodziców.

Trevor zjawił się w ciągu kilku minut. Kyla zdziwiła się, kiedy ujrzała go w ciemnym wyjściowym garniturze. Lekkim kopnięciem odbił plastikową piłką, Aaron podreptał za nią ucieszony.

- Dzień dobry - powiedział Trevor.
- Dzień dobry - odparła Kyla. To będzie trudniejsze, niż myślała. Zamiast skupić się na rzeczowych argumen-

tach podważających zasadność absurdalnego pomysłu ich małżeństwa, pozwoliła, by opadły ją niezatarte, natarczywe wspomnienia obezwładniających pocałunków i podniecającego dotyku palców, po mistrzowsku stopniujących rozkosz. - Trevor... - Nerwowo zwilżyła wargi i zacisnęła dłonie.

Nagle, znikąd, pojawił się biały pudel, rozszczekany, natarczywy. Miotał się i podskakiwał w tanecznych podrygach wokół zatrwożonego Aarona, ujadając głośno i zachęcając do zabawy. Tak żywiołowo demonstrowane przejawy psiej radości półtorarocznemu malcowi wydały się zajadłym atakiem. Aaron krzyknął z przerażenia, lecz to jeszcze bardziej podnieciło rozdokazywane stworzenie. Pudel przyskakiwał na przednich łapach, podrywał się i wirował dookoła chłopca niczym puszysty kłębek. Malec zrobił kilka kroków, chcąc uwolnić się z pułapki. Pies przyskoczył do niego od tyłu, nie dając za wygraną. Chłopiec nie namyślając się, rzucił się, pozornie na oślep, przed siebie, przebierając co sił pulchnymi nóżkami.

Pozornie na oślep, bowiem -jak się okazało - dokładnie wybrał cel swojej ucieczki. Za najbezpieczniejsze schronienie Aaron uznał nie matkę, lecz krzepkie, opalone, wyciągnięte ku niemu ramiona wysokiego mężczyzny, które otoczyły pulchne ciałko zbawiennym kręgiem. Małe rączki kurczowo opasały męski kark, główka wtuliła się desperacko w zaciszne zagłębienie szyi, a z oczu trysnęły strumienie łez. Trevor, pochylony, przygarnął serdecznie małego do siebie i gładził go czułymi, kojącymi gestami.

- Już dobrze, malutki, już dobrze, nie bój się, nic się nie stało. Nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić. Piesek chciał się tylko pobawić. Nie płacz, już wszystko dobrze.

Przysadzista kobieta w średnim wieku, właścicielka pudla, biegła truchtem w ich kierunku, posapując ze zdenerwowania. Złapała niepoprawnego pupila i wymierzyła mu porządnego klapsa.

- A ty niedobre stworzenie! Dlaczego tak wystraszyłeś tego biednego szkraba? - strofowała psa, biorąc go pod pachę. - Czy pana synkowi nic się nie stało? - zwróciła się do Trevora z niepokojem.

- Nie, nic. Przestraszył się tylko - odparł Trevor, nie przestając głaskać chłopca, który - wciąż kurczowo przytulony - przestał tymczasem płakać.

- Tak mi przykro. Na chwilę spuściłam go ze smyczy, a ten pomknął jak strzała. On by nie ugryzł, chciał się tylko pobawić. Bardzo przepraszam. - Kobieta oddaliła się, czyniąc pupilowi wyrzuty.

Trevor poklepał Aarona po plecach, potarł wąsami policzek malca i serdecznie ucałował.

- Nic mu nie będzie. Sądzę, że... - Urwał, spojrzawszy na Kylę. Stała nad nimi z wyrazem twarzy, na którego widok oniemiał. Jej nieprzytomne oczy nabrzmiały łzami, rozchylone wargi drżały trwożnie. Wpatrywali się w siebie w milczeniu, niepomni, że Powersowie wybiegli na ganek zbadać przyczynę głośnego zamieszania. Meg zrobiła krok do przodu, lecz Clif ją powstrzymał.

Trevor, nie wypuszczając z objęć Aarona, podniósł się, otarł miękkim, tkliwym gestem łzy z policzków Kyli, przesunął kciukiem po jej zbielałych wargach.

- Nie dokończyłaś. Co masz mi do powiedzenia?

Kyla nie miała w tym momencie wątpliwości, jak będzie brzmiała jej odpowiedź. Aaron potrzebuje ojca - żywego. Nie pozwoli chłopcu zapomnieć o Richardzie, ale

martwy ojciec nie uchroni chłopca przed niebezpieczeństwami codziennego życia.

Trevorowi zależało na Aaronie. Był dla niego czuły, dobry, kochający i wielkoduszny. To jemu chłopiec okazał zaufanie. Nie znajdzie drugiego takiego mężczyzny, który z pełną świadomością podejmie trud wychowania nie swojego dziecka i zaopiekuje się kobietą, która go nie kocha.

- Chciałam ci powiedzieć, że wyjdę za ciebie, jeśli tego chcesz.

- Jeśli chcę? - odburknął. - Do licha, pewnie że chcę.

W okamgnieniu znalazł się przy niej. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać: uścisku dłoni pieczętującego zawarcie umowy, małżeńskiego kontraktu do podpisania? Z pewnością nie gorących wyrazów miłości pośrodku trawnika w ten niedzielny poranek na oczach sąsiadów i przypadkowych przechodniów.

Trevor jednak zlekceważył dobre obyczaje. Nie zważając na nic, okrywał jej twarz gorączkowymi, łapczywymi pocałunkami.

Kyla poczuła, jak mięknie pod ich naporem, a rozkoszne ciepło rozpływa się po całym ciele. Gdzieś w głębi umysłu rozbłysła iskierka rozczarowania, że Aaron przeszkadza pełnemu zaspokojeniu nienasyconego pragnienia, by dać się zawładnąć tym mocnym ramionom. Zachwiała się lekko, kiedy w końcu Trevor oderwał rozpalone wargi, by zaczerpnąć tchu. Podtrzymał ją i poprowadził w kierunku werandy, gdzie niecierpliwie czekali rodzice. Aaron z upodobaniem szarpał Trevora za włosy. Ten zaśmiewał się radośnie.

- Pani Powers, panie Powers. Kyla uczyniła mi ten zaszczyt i zgodziła się mnie poślubić.

Meg, rozanielona, wybuchnęła płaczem. Clif, ucieszony, podbiegł pogratulować narzeczonemu.

- To wspaniale! Jesteśmy tacy szczęśliwi! Tacy... szczęśliwi. Kiedy ślub? - zwrócił się do Kyli.

- Właśnie, kiedy? - zawtórował Trevor.

- Ja… hm, nie wiem. - Kyla czuła się tak, jak gdyby porwała ją potężna fala.

- Co powiesz na przyszłą sobotę? - podsunął Trevor. - Możemy dzisiaj załatwić formalności w kościele.

- Znakomity pomysł! - Meg podchwyciła entuzjastycznie. - Oczywiście ślub odbędzie się tutaj, w domu.

- Rzeczywiście, nie ma co czekać - dodał Clif.

Tak, po co czekać? - Kyla zapytała samą siebie. Jeszcze przed chwilą decyzja wydawała się jej oczywista. Teraz zaczęły ogarniać ją wątpliwości. A więc stało się. Zostanie panią Rule. Co sobie ludzie pomyślą?

Babs, jak zwykle, przyjechała na niedzielny obiad. Otworzył jej Trevor. Babs, która nie widziała Trevora od pamiętnego spotkania sprzed tygodnia, zdumiona wytrzeszczyła na niego oczy.

- Wchodź. Wszyscy są w kuchni.

Wpadła do kuchni, wołając od progu:

- Co tu się dzieje?

Kyla przebiegła po obecnych wzrokiem, jakby szukała u nich pomocy, lecz nikt nie kwapił się, by pospieszyć jej na ratunek. Zrezygnowana powiedziała:

- Trevor i ja pobieramy się.

- Pobieracie się?! - wykrzyknęła oszołomiona Babs i niewiele myśląc, wycisnęła na ustach Trevora siarczystego całusa. - Skoro żenisz się z moją najlepszą przyjaciółką, mam do tego prawo.

Trevor, rozbawiony, złapał Babs w pasie i cmoknął ją w policzek.

- Ja też.

Wszyscy roześmieli się, Aaron zaś, poddając się ogólnemu nastrojowi wesołości, bębnił zapamiętale łyżką o blat stołu.

Obiad upłynął w radosnej i beztroskiej atmosferze. Nie było końca żarcikom, docinkom i pogaduszkom. Trevor usiadł blisko Kyli i nie przepuścił ani jednej okazji, by nie dotknąć jej czule i nie pogłaskać. Nieprzywykła do tak jawnych oznak adoracji, złapała się na tym, że sprawiają jej przyjemność, że ich oczekuje. Zganiła siebie za to. Zawierała małżeństwo z rozsądku, nic więcej.

Trevor spędził z Powersami całe popołudnie.

- Dorastałem w Filadelfii, chodziłem do prywatnego gimnazjum, potem studiowałem w Harvardzie - wyjaśnił podczas swobodnie toczonej rozmowy.

- Twoja matka nie żyje? - spytała Meg.

- Umarła wiele lat temu. Zawiadomię o ślubie ojca, wątpię jednak, czy w tak krótkim czasie będzie mógł odwołać spotkania.

- Jest prawnikiem? - dopytywał Clif.

- Bardzo wziętym prawnikiem. Sprawiłem mu ogromny zawód, kiedy postanowiłem nie iść w jego ślady i nie dodawać swojego imienia do nazwy firmy Alexander & Rule.

- Na pewno dumny jest z tego, co osiągnąłeś w swojej dziedzinie.

- Mam nadzieję.

Pod wieczór wyglądało na to, że całe miasto zna już nowinę.

- Pani Baker oferuje pomoc przy organizowaniu weselnego przyjęcia.

Kyla, przerażona, odwróciła się od kuchennego blatu, na którym szykowała kanapki na kolację.

- Nie, mamo, proszę. Podziękuj, ale grzecznie odmów. Nie życzę sobie żadnej pompy.

- Ależ, kochanie, wszyscy są tacy podnieceni.

- Już raz miałam huczne wesele. To małżeństwo nie jest... takie samo jak pierwsze.

- Dobrze, córeczko, jak chcesz. - Meg była wyraźnie rozczarowana.

Wieczorem Kyla wraz z Trevorem wyszli na werandę, aby się pożegnać. Kiedy przystanęli w mrocznym cieniu, pochylił się i zamknął jej usta przeciągłym, serdecznym pocałunkiem.

- Boże, jak ja wytrzymam do soboty - szepnął. Gładził jej plecy, talię, biodra, potem powędrował dłonią do piersi. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię pragnę?

Wodził ustami po jej szyi, twarzy, karku. Czuła, jak rozkoszne mrowienie ogarnia jej członki, jak przemożna fala ciepła przetacza się przez całe ciało. Czuła, że gotowa jest dać się ponieść uczuciom i zatracić w tym upojnym porywie namiętności.

- Dobranoc, kochanie.

Kiedy ciemność zamknęła się za nim, a światła samochodu zniknęły za zakrętem, długo jeszcze stała na werandzie, cała drżąca. Próbowała owe niepohamowane drżenie przypisać lękowi przed tym, co ją czeka.

Przyznała jednak skrycie, że to nie lęk przejmuje ją nieopanowanym dreszczem emocji.

Tydzień upłynął w nastroju podniecenia. Meg i Clif nie posiadali się z radości z powodu małżeństwa córki z Trevorem, któremu ufali i chętnie powierzali mu szczęście jej i Aarona. Babs wprost rozsadzała energia. Zasypywała przyjaciółkę pomysłami.

- Nie chcę niczego takiego - wzbraniała się Kyla, kiedy Babs podsuwała jej w butiku seksowny, przezroczysty niemal negliż.

- Panna młoda musi mieć taki strój. Nie chodzi przecież o to, żeby był trwały - przekomarzała się Babs.

- Mam już kilka nocnych koszul - opierała się Kyla słabo.

- Absolutnie nie nadają się na miodowy miesiąc.

- Nie będzie miodowego miesiąca. Przeprowadzamy się od razu po ślubie do domu Trevora.

- Do waszego domu, chciałam zaznaczyć. A miodowy miesiąc niekoniecznie trzeba spędzać na egzotycznych wyspach. Można w ogóle nie wychodzić z sypialni. No więc, który wybierasz, niebieski czy brzoskwiniowy?

- Wszystko jedno. - Kyla skapitulowała i rozdrażniona opadła na fotel w sklepowej przymierzalni. - Skoro twierdzisz, że muszę mieć nowy negliż, to wybierz go sama.

- Co cię napadło? Ciągle tylko zrzędzisz i wydziwiasz. Kilka dni w objęciach Trevora Rule'a, i zaraz ci się humor poprawi.

Kyla, zgnębiona, pomyślała o Richardzie. Nikt, oprócz niej, nie wspomniał o nim w trakcie gorączkowych przygotowań do ślubu. Uznała to za niedopuszczalną nielojalność.

Sama dała się wciągnąć w wir zakupów. Codziennie z Trevorem odwiedzali sklepy, wybierając przedmioty po-

trzebne do gospodarstwa - od miksera po wyścielane fotele. Ich gusta zgadzały się co do joty. Chwilami czuła się jak Kopciuszek, którego zachcianki spełniają się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Trevor nie szczędził pieniędzy. Zapełniane sprzętami wnętrze ich przyszłego domu powoli nabierało wyrazu. Kyla szczypała się upewniając, czy to aby nie sen, z którego zaraz się obudzi.

Ostatniego wieczora wprowadził ją niczym księżniczkę do urządzonego ich wspólnym wysiłkiem domu.

- Dziś dostarczono krzesła i łóżko - oznajmił, zapalając lampę osłoniętą abażurem w kształcie kwiatu lotosu.

Oczarowana Kyla rozglądała się po bajecznie urokliwej sypialni. Uchwyciła uważne spojrzenie Trevora.

- Masz jakiś pomysł? - spytała miękko.

- Co ty na to, żeby wypróbować łóżko?

Poczuła raptowny skurcz serca, zabrakło jej tchu. W jednej chwili leżała na wznak, przytłoczona jego ciężarem, przykuta rozognionym spojrzeniem. Poczuła, jak rozgorączkowana dłoń ześlizguje się po szyi w dół i zatrzymuje na piersi, jak niecierpliwie rozpina guziki sukienki, jeden, drugi, potem następny, i jak zręczne palce wślizgują się za stanik.

Zamarła w bezruchu, z przyspieszonym oddechem, przymkniętymi powiekami, bezwolna.

Trevor zsuwał ramiączko stanika coraz niżej, i niżej, aż krągła, miękka, kształtna wypukłość wychyliła się zza jedwabnej miseczki.

- O mój Boże, jesteś taka piękna. - Tulił w dłoni tę cudowną krągłość, muskał palcami wrażliwe, brunatne zwieńczenie. - Kyla - westchnął i rozchylił jej wargi słodkim, czułym pocałunkiem, równie delikatnym jak pieszczotliwe igraszki palców.

- Chcę wejść w ciebie, Kyla. Chcę poczuć, jak dochodzisz.

Zamknął jej westchnienie w pułapkę zachłannych warg. Koniuszkami palców koił naprężone pożądaniem ciało.

- Kochanie, błagam, nie rób tak - wyszeptał chrapliwie w przerwie między pocałunkami. - Bo nie będę mógł przestać. Wezmę cię, zanim zostaniesz moją żoną.

Ogromnym wysiłkiem woli poskromił namiętność. Zapiął sukienkę i podniósł Kylę z wymiętego łóżka. Zwisła bezwładnie w jego ramionach.

Przyłożył dłoń do jej serca.

- Uczynię cię szczęśliwą, Kyla. Przysięgam.

Ukryła twarz na piersi Trevora, pobudzona i zdesperowana. Jej obudzone ciało nawiązało kontakt, odwzajemniło pieszczoty. Jej dusza nie mogła jednak odwzajemnić miłości ani przyrzec szczęścia. Sprzeniewierzyłaby się obietnicy danej na cmentarzu w Kansas na długo wcześniej, nim poznała Trevora.

ROZDZIAŁ 9

Babs przystroiła cały dom kwiatami. Meg przygotowała wystawny bufet. Kameralna, rodzinna uroczystość w obecności jedynie pastora, jakiej życzyła sobie Kyla, zaczęła przybierać charakter prawdziwie weselnego przyjęcia.

- Po co robicie tyle szumu. - Kyla z rozdrażnieniem ubierała się w swojej sypialni.

- Jak to, po co, przecież to twój ślub! - Babs pomogła jej zapiąć guziki na plecach.

- Drugi ślub.

- I jeszcze narzekasz? Nie wszyscy mają takie szczęście.

Kyla popatrzała na przyjaciółkę stropiona.

- Nie przypuszczałam, że chciałabyś wyjść za mąż.

- Nie trafił mi się dotychczas odpowiedni kandydat - przyznała ponuro Babs. - Gdyby nawinął mi się taki Richard Stroud albo Trevor Rule, zaraz zaciągnęłabym go do ołtarza.

- Wybacz, Babs - rzekła Kyla skruszona. - To prawda, miałam sporo szczęścia.

- Wątpię, czy to szczęście, gdy mąż nagle przenosi się na tamten świat. Ach, co tam. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Jestem po prostu zazdrosna. Mnie nikt nie kocha, a ty miałaś aż dwóch adoratorów u swoich stóp.

Kyla roześmiała się, wyobrażając sobie Trevora czołgającego się u jej stóp.

- Nie sądzę, by Trevor skłonny był do pokornego oddawania czci.

Babs westchnęła.

- Jezu, ale ci się trafiło! Nie dość że przystojny, to jeszcze taki miły. Rzadko te dwie cechy idą w parze.

Kyla wolała nie myśleć o mężczyźnie czekającym na dole i o nadchodzącej nocy. Szybko zmieniła temat.

- Naprawdę uważasz, że to odpowiedni strój ślubny? Wolałabym nieco skromniejszy.

- Jest fantastyczny.

Obcisły stanik jedwabnej sukni w delikatnym jasnożółtym kolorze przechodził w sutą spódnicę, mocno ściągniętą w talii. Jedyną biżuterią, jaka ozdabiała pannę młodą, były perłowe klipsy.

- Nie sądzisz, że powinnaś to zdjąć?

Kyla podążyła wzrokiem za spojrzeniem Babs.

Obrączka! Stała się niemal nieodłączną - podobnie jak palce, kłykcie czy paznokcie - częścią dłoni. Oczy Kyli wezbrały łzami. Nie zdejmowała jej ani razu od chwili, kiedy Richard założył ją na palec, powtarzając słowa małżeńskiej przysięgi: „Będę cię kochał, póki śmierć nas nie rozłączy". Powolnym ruchem ściągnęła z palca złote kółko. Z uszanowaniem włożyła je do aksamitnego etui.

- Gotowa? - spytała Babs.

- Chyba tak - odparła Kyla drżącym głosem. - Czy ojciec zaprowadził Aarona na dół?

- Daj spokój, bierzesz ślub! Przestań się martwić o Aarona, zajmiemy się nim. - Babs sięgnęła po kwadratowe,

ozdobne pudło, które wcześniej wniosła na górę. - Trevor prosił, żebym ci to dała, zanim zejdziesz.

W paczce spoczywał bukiet białych orchidei Royal Occasion, które tak uwielbiała, przybrany pączkami białych róż i wiotkimi gałązkami gipsówki.

- Och... to... - Kyla zamilkła z wrażenia.

- Dwanaście orchidei. - Błękitne oczy Babs błyszczały z przejęcia. - Mówię ci, Kyla, ten facet to skarb. Jeżeli, czego ci nie życzę, zaprzepaścisz swoją szansę, sama się zabiorę za tego przystojniaka, wcale nie będę się zastanawiać.

- Postaram się - mruknęła Kyla i półprzytomna skierowała się w stronę schodów.

Szmer rozmów ucichł, kiedy wkraczała, poprzedzana przez przyjaciółkę, do salonu.

Meg z rozrzewnieniem przyciskała do twarzy jedwabną chusteczkę. Clif ze wzruszenia z trudem przełykał ślinę. Babs miała rozmarzoną minę. Haskellowie przybrali uroczyste pozy. Trevor wyglądał fantastycznie. Do stalowoszarego garnituru, który Kyla pamiętała z bankietu, włożył koszulę w kolorze kości słoniowej. W tej samej tonacji krawat w drobniutkie czarne prążki znakomicie pasował do jedwabnej chusteczki w butonierce.

Pan młody postąpił kilka kroków w kierunku panny młodej. Lecz Aaron, szybki jak błyskawica, ubiegł go i pierwszy dopadł matki. Meg i Clif zerwali się, by ratować pończochy, suknię i bukiet panny młodej. Niepotrzebnie. Trevor szybkim ruchem zgarnął malca na ręce.

- Twoja mama wygląda pięknie, prawda, bąku? - szepnął mu do ucha.

Aaron zagruchał radośnie, powtarzając kilkakrotnie dźwięk przypominający słowo „mama", po czym zama-

szyście cmoknął Kylę w policzek. Wydawał się zadowolony ze swojego punktu obserwacyjnego w ramionach Trevora, co Kyla przyjęła tym razem z westchnieniem ulgi, bowiem pozbyła się w ten sposób niemałego kłopotu trzymania chłopca i bukietu jednocześnie.

- Ciągle muszę ci dziękować za kwiaty.

. - Podobają ci się?

- Są urzekające. Uwielbiam je. Jesteś zanadto rozrzutny.

Potrząsnął głową.

- To dzień naszego ślubu. Jesteś panną młodą. Niczego nie jest zanadto, kochanie.

Patrzyli sobie głęboko w oczy dłuższą chwilę, póki Aaron nie zaczął wiercić się niespokojnie. Trevor otrząsnął się z zauroczenia i ujął pannę młodą pod ramię. Ruszyli w głąb salonu, gdzie wokół pastora zgromadzili się nieliczni goście.

- Kyla, Trevor, to szczęśliwy dzień - rozpoczął ceremonię duchowny.

Choć było wczesne popołudnie i słońce jasno świeciło przez wypolerowane przez Meg szyby, Babs uparła się, by zapalić mnóstwo świec. Migotliwe płomyki błyskały z każdego zakątka pokoju, nasycając powietrze aromatycznym zapachem wanilii. Ktoś zadbał o muzykę i z głośnika dobiegały dyskretne dźwięki romantycznej melodii. Zapewne Babs opróżniła doszczętnie wszystkie gabloty Różowego Pączka, bowiem salon tonął w powodzi różnobarwnych kwiatów.

Uroczystość miała mniej formalny przebieg, niż to zazwyczaj bywa przy tego typu okazjach. Słowa małżeńskiej przysięgi przerwało głośne kichnięcie Aarona. Kyla pospiesznie zaczęła ścierać chusteczką wilgotne kropelki

z garnituru Trevora. Pastor cierpliwie odczekał, aż matka wytrze dziecku nos, nim wznowił ceremonię. Poprosił o obrączki; Trevor sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wsunął Kyli na palec osadzone w złocie diamenty. Zauważył przy tym pasek białej skóry na palcu żony. Zajrzała mu w oczy przepraszająco, skruszona. Trevor wzdrygnął się, jak gdyby ciarki przeszły mu po plecach, lecz natychmiast odzyskał panowanie nad sobą. Ten drobny incydent uszedł, na szczęście, uwagi obecnych.

Kilka minut potem pastor wypowiedział tradycyjną formułkę:

- Trevor, możesz teraz ucałować pannę młodą.

Kyla utkwiła wzrok w węźle krawata koloru kości słoniowej i najwyraźniej nie zamierzała go odrywać od tej części mężowskiej garderoby. W końcu nieśmiało uniosła oczy i napotkała rozjarzone zielenią spojrzenie.

Trevor nachylił się i złożył na wargach żony czuły, acz odrobinę zaborczy pocałunek. Uśmiechnął się i ucałował także policzek Aarona.

- Kocham was oboje - wyszeptał Kyli do ucha. O mało się nie rozpłakała.

Nie zdążyła jednak, bowiem otoczył ją krąg radosnych, życzliwych twarzy. Uściskom i życzeniom nie było końca. Babs podryfowała oczywiście w kierunku Trevora, korzystając z nadarzającej się sposobności, by jeszcze raz posmakować pocałunku przystojniaka. Ted i Lynn ochoczo przyłączyli się do serdeczności.

Clif wyciągnął aparat, by uwiecznić uroczystość na kliszy. Kylę przytłoczyła w tym momencie myśl o albumie oprawionym w białą satynę, który spoczywał w jej sypialni, w szufladzie komody, pełnym zdjęć z innego wesela.

- Jeśli nie podoba ci się ta obrączka, wymienię ją na

inną - zagadnął Trevor, kiedy przy bufecie Kyla nakładała sobie na talerz solidną porcję.

- Nie spodziewałam się takiego cacka, jest śliczna. Prosta i elegancka.

- Diamenty pochodzą ze ślubnej obrączki mojej mamy. Ojciec przysłał mi ją w ubiegłym tygodniu. Uznałem, że jest zbyt przeładowana i dałem jubilerowi do przerobienia.

- Z diamentów twojej matki zrobiłeś dla mnie obrączkę?

- Przed śmiercią życzyła sobie, żebym oddał je swojej żonie.

- Ależ, Trevor, powinieneś zachować je… - Urwała i ugryzła się w język, by nie powiedzieć na głos: „Dla kobiety, która cię pokocha".

- Dla kogo? - Wierzchem dłoni delikatnie głaskał ją po policzku. - Jesteś moją jedyną żoną, Kyla.

- Przykro mi, że nie przygotowałam obrączki dla ciebie. - Nie chciała się przyznać, że pomyślała o tym dopiero w chwili, gdy Babs - niech Bóg ją za to błogosławi - przypomniała jej o symbolu poprzedniego małżeństwa. - Nie byłam pewna, czy chciałbyś ją nosić. Niektórzy mężczyźni ukrywają takie rzeczy.

- No cóż, może miałbym ochotę na coś mniej tradycyjnego. - Z przesadnym namaszczeniem rozdrabniał zębami oliwkę z miną człowieka, który pilnie rozważa zagadnienie doniosłej wagi. - Na coś bardziej ekstrawaganckiego.

- Na przykład?

- Na przykład złoty kolczyk w uchu.

W pierwszym odruchu otworzyła usta ze zdziwienia, lecz zaraz potem zdała sobie sprawę, że mąż z niej sobie podkpiwa i roześmiała się szczerze.

- O co chodzi? Nie sądzisz, że przekłute ucho pasowałoby do opaski na oku?

- Owszem, nawet bardzo - przyznała. - Przekłute ucho dodaje mężczyźnie fasonu, jestem pewna, że wyglądałbyś doskonale.

- Skąd więc ten powątpiewający ton?

- Zastanawiałam się, co by na to powiedzieli robotnicy na budowie.

- Hm, może i masz rację. Muszę chyba zrewidować swoje upodobania.

Roześmieli się.

- No, nareszcie.

- Co nareszcie?

- Udało mi się odpędzić ten wyraz przyczajonego napięcia i zastąpić go autentyczną radością. W końcu się roześmiałaś.

- Cały czas się śmiałam.

- Nie przy mnie. Chcę, żebyś śmiała siejak najczęściej. Tylko nie wtedy, kiedy się rozbieram - zniżył głos do szeptu.

Na myśl o rozbieraniu jej wesołość zgasła.

- Obiecuję, że nie będę się wtedy śmiała.

Miała ochotę ucałować ojca za to, że przerwał ten intymny wątek, ustawiając młodą parę do kolejnej fotografii. Robili zdjęcia, jedli, wypili morze przygotowanego przez Meg ponczu. Potem pożegnali się z Haskellami, przyrzekając wkrótce się spotkać.

Babs pognała na randkę.

- Biedaczysko - zawołała od progu - nawet mu się nie śni, co go czeka! Cały ten ślub wprawił mnie w niesłychanie sentymentalny nastrój.

- Mamo, pozwól, że ci pomogę posprzątać.

- Nie, w żadnym wypadku, córeczko. - Meg wypędzała Kylę z kuchni. - Jedźcie już do siebie.

- Nie zapakowałam jeszcze rzeczy Aarona. Myślałam, że się przebiorę i... - Zamilkła, bo spostrzegła, że trzy pary oczu wpatrują się w nią, jak gdyby postradała zmysły. Koniuszki wąsów Trevora drgały z ubawienia. - O co chodzi?

- Uznaliśmy z mamą, że będzie lepiej, jeśli Aaron zostanie tu dzisiaj na noc - rzekł niepewnie Clif.

Chciała zaprotestować, lecz uznała, że nie ma nic sensownego do powiedzenia. Trevor wybawił ją z opresji.

- Dziękujemy, to bardzo miło z waszej strony. Jeśli nie sprawi to nadmiernego kłopotu, chętnie zostawimy dziś Aarona pod waszą opieką. Jutro przyjedziemy po niego pikapem i zabierzemy przy okazji resztę rzeczy Kyli, dobrze, kochanie?

- Tak - wykrztusiła. - Jutro wieczorem dokończę pakowania i uprzątnę wszystko.

Po ogłoszeniu zaręczyn Kyli i Trevora Powersowie sprzedali dom. Kyla wiedziała, że im wcześniej uwinie się z przeprowadzką, tym szybciej transakcja zostanie sfinalizowana. Teraz jej myśli krążyły wyłącznie wokół nadchodzącej nocy.

- Twoja matka potrafi urządzić przyjęcie - stwierdził Trevor w drodze do ich domu.

- Zawsze była świetną gospodynią.

- Doceniam jej wysiłki.

- Po prostu to lubi.

- Podoba mi się twoja sukienka.

- Dziękuję.

- Jedwab?

- Tak.

- Wydaje czarujący odgłos.

- Odgłos?

- Tajemniczy szelest, który skłania mnie do spekulacji, co też ukrywa pod spodem.

Kyla uciekła spojrzeniem za okno.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Tak, szeleści przy każdym ruchu. Bardzo seksownie. - Sięgnął po jej dłoń i ułożył ją sobie wysoko na udzie. - I bardzo podniecająco.

Serce Kyli zatrzepotało. Próbowała skupić uwagę na fakturze szytych na miarę spodni, których dotykała, by odpędzić cisnące się nieprzeparcie myśli o podnieceniu męża, którego poziom bez trudu mogłaby określić, gdyby przesunęła dłoń choć trochę wyżej.

Światła reflektorów omiotły front domu, kiedy Trevor parkował na podjeździe.

- Będzie ci potrzebna ta torba? - spytał, wyjmując z samochodu niewielką walizeczkę.

- O, tak. Mam tam kosmetyki i… kilka rzeczy...

- A, rozumiem. Kilka rzeczy. - Wesoły uśmiech nie złagodził gwałtownego bicia serca Kyli, które goniło, jak się jej zdawało, resztkami sił. - Nie możesz się obejść bez tych kilku rzeczy, prawda?

Postawił neseser na ganku i otworzył frontowe drzwi na oścież. Nim zdołała się zorientować, porwał ją na ręce.

- Witaj w domu, żono.

Przeniósł ją przez próg, jak nakazywała tradycja. Pochylił się i okrył ją mnóstwem bezładnych, żywiołowych pocałunków. Kyla mogła bez trudu przerwać ten wybuch, ponieważ obie ręce miał zajęte, lecz pod naporem mężowskiego zapału - zrezygnowała i uległa.